Numer 32. Rok X. Kraków, dnia 7 Sierpnia 1927

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Kto on?

W 13-tą rocznicę wymarszu Legjonów... Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu — poświęcam.

Od małej gromadki szarych postaci, stojących na szczycie stromej skały, odłączył się jeden cień — cień człowieka. I zaczął się zsuwać po skalistych złomach, w dół, ku obszernej płaszczyźnie zasnutej mgłami przedświtu... Wzrok Jego był zawieszony hen w odległej rozbieżnej dali, kędy zpoza sinych oparów, malutkim jasnym rąbkiem, łudził uśpiony w mrokach dzień... Do świtu jednak jeszcze było daleko.

Człowiek, zsunąwszy się ze skały, stanął, i rozejrzał się wokoło, — droga przed Nim widniała daleka pełna zachłannych przepaści i ukrytych podziemnych min... Wiedział o tem szary człowiek, lecz to go nie przerażało — począł iść śmiało naprzód, omijając zręcznie przepaście i miejsca podminowane. Z początku szedł pustym szlakiem męczących i niebezpiecznych przeszkód, lecz wkrótce wydostał się na równiejszy gościniec, po którym idąc, napotykać zaczął najrozmaitsze postacie, snujące się w mrokach nocy, które co chwila przechodząc koło niego, potrącały go brutalnie.

Postacie były przeważnie skarłowaciałe i nędzne, które jednak, wyciągając swoje wydelikacone ręce, wygrażały niemi idącemu człowiekowi — pytając:

— Ktoś ty, że śmiesz iść w pośród nas i zakłócać nam spokój swojem ciężkiem żelaznem stąpaniem? — Ktoś ty — i dokąd idziesz?...

A człowiek przystawał chwilę, spoglądając na karłów z politowaniem, i mówił:

— Jam jest Moc... której nie pokonają wasze słabe ręce — a idę w widniejący świt, który jaśnieje w oddali... Pójdźcie ze mną i wy, abyście się stali pierwszymi, którzy witać będą nowy Dzień...

Ale karły odsuwały się z lękiem od człowieka, i kryły się jeden za drugiego, krzycząc:

— Szaleniec!... co mu się marzy, jakiś nowy dzień?... Alboż nam źle w mrokach nocy — alboż nie smaczny mamy sen?... Usuńmy mu się lepiej, gdyż ma widać silne dłonie, i niebezpiecznie takiemu stawać na drodze.

I usuwały się karły, uciekając w nocny mrok... Tylko czasem, odrywał się od nich jeden, lub dwóch, którzy podobni byli idącemu człowiekowi — i szli za nim w daleki widniejący świt...

A człowiek szedł naprzód — posuwał się ku wysokiej miedzy, która dzieliła dwie obszerne płaszczyzny należące do jednej całości... Gdy stanął na pagórku, ujrzał z poza wysokiej miedzy, najeżony most bagnetów... i ziejące ogniem potwory... Chwilę stał jak posąg na szczycie pagórka, zapatrzony w ten nieprzebyty mur, który go dzielił od wschodzącego dnia... Lecz oczy Jego powoli nabierać poczęły stalowego blasku niezmożonej siły — ramiona prężyć się i tężeć w muskularną żelazną moc... a postać cała olbrzymiała i rosła w człowieka tytana, przed którym nie oprze się żadna potęga...

Śmiałym krokiem zaczął schodzić między najeżone szeregi bagnetów, które chwiejąc się przed Jego siłą, rozsuwały się, tworząc Mu wolne przejście na szeroką znowu płaszczyznę. A z pomiędzy zbitego tłumu, stojącego tyż murem, płynął szept trwożnego podziwu:

— Co to za olbrzym, że nasza siła w proch pada przed jego nieznaną potęgą?.. Kto on — i dokąd dąży?...

A człowiek olbrzym odpowiadał:

— Jam jest Duch wieków... przepływam ponad waszą ziemską potęgą niestrwożony, i dążę tam, kędy widnieje jasny świt... Pójdźcie za mną, abyście i wy stali się pierwszymi, którzy witać będą nowy Dzień..

Bagnety zachwiały się w drżących rękach, lecz z tłumu wydobył się głuchy pomruk niedowierzania. Ale mimo to, zaczęły się odrywać pojedyncze postacie i biec za człowiekiem olbrzymem, wołając:

— Tyś nasz brat... Idziemy z Tobą do nowego Dnia.

I człowiek olbrzym poszedł naprzód przed niemi, nie mając chwili czasu na wypoczynek, w znojnym swoim pochodzie, gdyż przed Nim jeszcze piętrzyły się olbrzymie skały, które przejść musiał, aby stanąć spokojnie u wrót Wolności...

Czem dalej posuwał się naprzód, tem więcej napotykał przeszkód na drodze, które tamowały Mu zwycięski pochód. Przepaście otwierać się poczęły pod Jego stopami, chcąc Go wchłonąć w swoje czarne głębie... Olbrzymie skały z trzaskiem waliły się

Mu ponad głową, kalecząc swojemi odłamami Jego żelazne członki... Ostre krzewy zarastały Mu drogę, z których wysuwały się zielone żmije, dotykając jadowitemi żądłami Jego rąk i nóg... W ciemnej gąszczy lasów, złowieszczo błyszczały wilcze ślepia, a kły ich żarłoczne wyszczerzały się ku idącemu... Ale najbardziej i najstraszniejszym wrogiem, stał się napotkany znowu skarłowaciały człowiek, który z zawiścią spojrzawszy na olbrzyma, poprzysiągł Mu zemstę w swojem małem egoistycznem sercu...

Na każdym kroku spotykał teraz olbrzym człowieka wroga, któremu napróżno wskazywał jasny świt wysoko, zachęcając, by szedł z nim w braterskim pochodzie... Człowiek karzeł nie mógł zrozumieć olbrzyma Ducha, a czując swoją niemoc wobec Jego potęgi, zaczął Mu rzucać kamienie z ukrycia, które zaścielały coraz bardziej drogę olbrzyma...

Ogromne zmęczenie ogarniało idącego w pośród tylu przeszkód olbrzyma, i aby nie paść z trudu, bezustannie spoglądał na widniejące coraz bardziej zorze świtania... i coraz bardziej był bliskim celu...

Najsmutniejszem Mu było jednak to, że nie mógł za sobą pociągnąć wszystkich napotkanych ludzi... Mała garstka szła tylko w ślad za Nim, inni uciekali w popłochu przed Jego olbrzymią postacią, lub ukrywali się w ciemnie nocy, by stamtąd rzucać kamienie pod Jego nogi.

Serce człowieka olbrzyma płakało nad złością swych braci, lecz iść musiał od nich naprzód, gdyż nie mógł pozostawać w ciemności, i karleć, jak oni...

Świt był już blisko, lecz nagle w około dał się słyszeć dzikiej burzy szum... a w rozsuwających się mrokach zabłysły znowu ostre bagnety, godząc w olbrzyma pierś.

Całą siłą, jaką jeszcze czuł w sobie, pchnął się naprzód na nastawione ostrza...

Ze straszną nienawiścią uderzać poczęły bagnety w żelazną pierś śmiałka, który z lekceważeniem śmierci przedzierał się przez tysiączne tłumy, przez morze czerwonej krwi — ku widniejącym świtom...

Z nienawiścią uderzały bagnety w żelazną pierś, lecz żaden nie mógł zabić serca płonącego wielką ideą wolności — poszarpały jednak na strzępy szary pancerz i pokryły ranami ciało olbrzyma. Poraniony, ociekający krwią, w poszarpanych szatach, przeszedł jednak zwycięsko poprzez ostre bagnety, i stanął wreszcie na szczycie góry, kędy leżał jeszcze do odwalenia olbrzymi mogilny kamień, przysłaniający przez długie wieki słoneczny blask... Wówczas olbrzym ostatkiem sił szarpnąwszy zmurszały głaz, odwalił go daleko precz,, a z poza niego wyjrzało jasne słońce nowego Dnia... które złotemi blaskami zalało wokół całą szeroką płaszczyznę. Olbrzym stanął i odetchnął głęboko, a po chwili spojrzał w dolinę, kędy roiło się mrowisko ludzkie. Ale oprócz garstki, która za nim dążyła ku słońcu... resztą ludzkich karłów zakrywała sobie oczy przed promieniami słonecznego Dnia, a kryjąc się gromadnie pod górzysty cień, krzyczała groźnie i z nienawiścią ku stojącemu olbrzymowi!

A olbrzym stanąwszy w słonecznym blasku, z góry im odpowiedział:

— Jam jest Duch waszych bohaterskich przodków, o których zapomnieliście karlejąc w uśpieniu... Jam jest ten, co przez wieki niewoli kuł nowy Dzień dla was... a którego nie chcecie uznać swoim bratem... Jam człowiek wolny... a imię moje jest... „Mickiewiczowskie czterdzieści i cztery".

Kachna Ł. Łza.

Zemsta Judyty.

Opowieść biblijna.

Wsali zabrała się rada.

Król usiadł na wielkim rzeźbionym fotelu. Z obu stron stanęli słudzy z ogromnymi wachlarzami i bez przerwy chłodzili nimi oblicze królewskie. Żołnierze stali w ściśniętych szeregach pod ścianami.

Wprowadzono wysłańców, którzy mieli zdać sprawę, jak się zachowują ludy, berłu assyryjskiemu podległe. Weszli z oczyma spuszczonemi, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach. Stanąwszy przed tronem, upadli na twarz i ucałowali ziemię przed stopami króla. Na dany znak podnieśli się zaraz i poklękali.

Król rzekł:

— Ja, Assurbanipal, król królów, pan i władca ziemi, dowiedziałem się, że niektóre krainy zbuntowały się przeciw mnie; chcą mi odmówić posłuszeństwa i przestać płacić podatki. Prawdaż to?

— Prawda! — odrzekli wysłańcy.

Król zwrócił zagniewane oblicze do Turtuna (hetmana wojsk assyryjskich), który stał obok tronu, i rzekł krótko:

— Mów, Holofernesie.

Turtan zgiął kolana i schyliwszy głowę, rzekł:

— Król i pan mój zna męstwo swych żołnierzy, biegłość i wierność swych dowódców, niech więc nie ociąga się z ukaraniem buntowników, a z pomocą Assur i Isztary (Assur i Isztar, bożki pogańskie), pan i bitew upokorzy niegodziwców.

Król spojrzał na żołnierzy, stojących wzdłuż ścian i sali i oblicze jego się rozjaśniło. Żołnierze bowiem mieli miny dumne, wyniosłe, rysy twarzy wyraziste, ruchy energiczne, zda się samego djabła by się nie zlękli. W znacznej większości byli oni wzrostu średniego, ale krępi i mocni; dobrze rozwinięte mięśnie obnażonych rąk świadczyły o niezwykłej sile, jaką się odznaczali.

Assurbanipal zmarszczył gniewnie brwi na wspomnienie buntowników i zawołał na wysłańców:

— Jakże was przyjęto?

— Władca Elamu (Elam była to kraina położona na wschód od Assyrji, niedaleko od zatoki Perskiej) — odrzekł jeden — jest djabłem wcielonym; znieważył nas i nie oddał ci czci, o panie!

— W Babilonie o małośmy życia nie postradali — dodał inny. — Lud na ulicach wołał, że nie chce znać Assyryjczyków i nie uznaje swym władcą Assurbanipala, naszego pana miłościwego.

— Król jerozolimski — mówił trzeci — trzyma z Egiptem i pójdzie na pomoc do Damaszku.

I tak wszyscy z kolei wymieniali miasta i ludy, które zamyślały zrzucić z siebie jarzmo assyryjskie.

Assurbanipal i jego doradcy rozumieli doskonale, że gdy wszystkie te ludy powstaną razem, gdy działać będą zgodnie i energicznie, to nastanie koniec potęgi assyryjskiej. Assyrja nie tylko nie da im rady, nie tylko ich nie pokona, ale łatwo może sama dostać się pod panowanie któregokolwiek z nich.

Ale Assurbanipal nie obawiał się bardzo tego, bo był pewny, że takiej jedności między spiskowcami nigdy nie będzie.

Gdy bowiem wybuchnie powstanie, to trudno o jedność, gdyż jedni są za bardzo niecierpliwi, nie przygotują się należycie i lekkomyślnie porywają za broń.

Inni, przeciwnie, są za bardzo powolni, chwiejni, długo się namyślają, a tymczasem policja assyryjska, bardzo czujna i przebiegła, doniesie wczas o knowaniach, a wtenczas zjawia się wojsko: niszczy, rabuje, zabija bez miłosierdzia, pali i z ziemią równa miasta i wsie. Było tak dawniej, będzie i teraz.

To też król rozgniewany, ale pewny zwycięstwa, zawołał:

— Holofernesie! rozkazuję ci, abyś nie szczędził krwi tych psów buntowniczych. Niech rozumieją, jak surowo będą karani wszyscy za nieposłuszeństwo.

—Rozkaz twój, o panie, będzie wykonany.

Ułożono zaraz plan wyprawy. Najpierw miano upokorzyć Elamitów, potem Aramejczyków i Babilon, a potem zapuścić zagony na Damaszek, Palestynę i Egipt.

Pisarze pisali rozkazy. Gońcy roznosili je na wszystkie strony. Rozkazy były krótkie, ale dobitne. Każdy gubernator otrzymał mniejwięcej taki rozkaz:

„Słowo królewskie do Belibni (na każdym rozkazie było inne imię). Pozdrowienie, które Ci posyłam, niech ucieszy serce twoje! Co się tyczy twych sprawozdań o ruchach buntowników, to powinien każdy, komu drogim jest dom jego pana, donosić swemu panu wszystko, cokolwiek widział lub słyszał. Nadsyłaj mi dalej wiadomości, jakie mieć będziesz o nich“.

Gubernatorzy zatem powinni byli podwoić czujność,

Gubernatorzy zatem powinni byli podwoić czujność, powinni zwracać uwagę na najbliższe podejrzane ruchy pomiędzy podwładną im ludnością i zawiadamiać króla w jak najkrótszym czasie o wszystkiem, co zauważyli.

Turtana Holofernes rozsyłał od siebie rozkazy do dowódców wojsk. Cały zarząd w Assyrji zastosowany był do wojny, ponieważ od kilku wieków Assyrja ciągle wojowała: to zdobywała nowe kraje, to poskramiała ludy. Na pierwszy więc znak wojska wyruszyły i podążyły na wskazane miejsce. Prawie wszystkie wojska pochodziły z Assyrji właściwej; w każdym jednak oddziale było kilkudziesięciu nieassyryjczyków, ale tak rozdzielonych, aby nie mogli się buntować.

Przed rozpoczęciem wyprawy Assurbanipal wyprawił dowódcom i całemu wojsku wielką ucztę, która trwała przez siedm dni...

ROZDZIAŁ III.

Ogromne wojsko wyciągnęło na podbicie wroga. Stodwadzieścia tysięcy piechoty, dwanaście tysięcy jezdnego żołnierza szło pod rozkazami Holofernesa. Wojsko to było doskonale uzbrojone i wyćwiczone. Każdy żołnierz walczył, należycie osłonięty od stóp do głowy.

Główna piechota składała się z kopijników i łuczników. Żołnierze ci mieli na głowach stożkowate hełmy z nausznikami dla obrony uszu; obleczeni byli w koszule skórzane, pokryte łuską metalową i osłaniające piersi i ramiona; nosili też skórzane fartuchy, spadające do kolan, na nogach zaś mieli wązkie spodnie i trzewiki sznurowane z przodu.

Kopijnicy mieli długie na trzy łokcie z żelaznem lub bronzowem ostrzem, krótkie miecze za pasami, ogromne tarcze metalowe okrągłe i wypukłe, lub też zaokrąglone u góry, a u dołu ścięte prostokątnie.

Łucznicy nie mieli tarcz i włóczni, ale łuki i kołczany, zawieszone ukośnie na plecach. Łucznicy lekkiej piechoty nie nosili pancerzy i zwykle walczyli obok procarzy, to jest żołnierzy uzbrojonych w maczugi i obosieczne topory.

Żołnierze, podzieleni na odziały, maszerowali z dokładnością, wywołującą podziw. Nie było między nimi zmęczonych lub niezdolnych do dalszego pochodu. Wodzowie wymagali od nich takiej wytrwałości, która zwaliłaby z nóg żołnierzy innych narodów.

Rzeki przechodzili w bród, lub przepływali na nadętych workach skórzanych. W krajach lesistych każdy oddział wysyłał naprzód kilku zwinniejszych, którzy wyrębywali drzewa i toporami drogę.

Jazda dzieliła się na dwie części: jedni walczyli na wozach, inni na koniach. Te wozy wojenne były ciężkie, mocne; koła o ośmiu sprychach, wysokie, grube. Każdy wóz miał tylko dwa koła; na osi leżało pudło, z przodu prostokątne, którego boki obite były blachą malowaną. Dyszel gruby, długi, na końcu rzeźbiony, albo ozdobiony jakimś kwiatem, lwią paszczą, łbem końskim lub czemś podobnem, wyrobionem z metalu.

Do każdego wozu zaprzężone były dwa konie, trzeci zaś szedł na przyprzążce i nie ciągnął, ale był zapasowym, aby w razie padnięcia lub zranienia którego z pociągowych, zastąpił jego miejsce.

Uprząż na koniach lekka; ale często wkładano na konie rodzaj pancerza z grubej materji, który okrywał grzbiet, piersi, łeb i kark. Części tego pancerza były sczepiane sznurami.

Na każdym wozie siedziało trzech ludzi: po lewej stronie woźnica, który kierował końmi, po prawej żołnierz z włócznią i łukiem, w środku giermek, który okrągłą tarczą osłaniał swych towarzyszów, zwłaszcza żołnierza. Uzbrojenie żołnierzy na wozach było takież samo, jak piechoty; składało się mianowicie z pancerza,, hełmu, łuku i włóczni.

Nad niektórymi wozami unosiły się sztandary, t. j. długie kije, na końcu których sterczały odwrócone półksiężyce, albo tarcze koliste, oparte na dwóch głowach byczych, na których znajdowały się figury dwóch byków i Assura, bożka assyryjskiego, puszczającego strzałę.

Konni jeźdźcy nie mieli siodeł, lecz każdy koń okryty był derą i pancerzem takim, jak konie przy wozach. Wszyscy jeźdźcy mieli hełmy i kirysy, jak żołnierze piesi, ale nie używali tarczy; nogi okrywali fartuchem. Połowa uzbrojona w miecze i piki, druga połowa w miecze i łuki. Pika miała ośm do dziewięciu stóp długości; łuk był krótszy niż w piechocie; długość strzały nie przechodziła trzech stóp.

Oprócz piechoty i jazdy były jeszcze oddziały rzemieślników, zajmujących się budową maszyn wojennych i kierowaniem niemi.

Za wojskiem ciągnęły nieprzeliczone trzody owiec i wołów; wielbłądy niosły na grzbietach przyrządy do zdobywania murów, namioty, naczynia srebrne i złote, potrzebne dla dowódców.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęło to wojsko. Szeroko rozsypały się jego zastępy, znacząc drogę mordem i pożogą. Zabarwiła się ziemia od krwi, a niebo od pożarów.

Ludzie uciekali przed najeźdźcami, chowali się w niedostępnych górach, borach ciemnych, ale tam najczęściej ginęli od miecza lub pożaru, albo od dzikiego zwierza.

Okrutni żołnierze nie przepuszczali nikomu. Wiedzieli bowiem, że ludy mogą się zmówić przeciw Assyryjczykom, że mogą działać jednozgodnie, a wtenczas państwo assyryjskie może się rozlecieć na drobne cząstki, to też nie poprzestawali na samem tylko rabowaniu domów i pustoszeniu pól, ale mordowali całe rodziny i najokrutniejsza kara nie wydawała

im się zbyt surową dla tych, którzy ośmielili się podnieść broń przeciw Assyrji. Jednych więc wbijano na pale, innych żywcem obdzierano ze skóry, trzecich oślepiano lub obcinano im wargi, młode zaś kobiety bezczeszczono i zabierano wraz z dziećmi do niewoli.

Ale żołnierze nietylko mordowali dlatego, że im tak kazali przełożeni, nietylko, że obawiali się, aby ich państwo nie upadło, lecz mordowali też dla przyjemności i zapłaty. Bo za każdą głowę uciętą otrzymywali ze skarbu odpowiednie wynagrodzenie. To też im więcej było płaczu i boleści wśród mordowanych, tem więcej uciechy i rozpasania wśród żołdactwa. Z dzikim okrzykiem porywali dzieci za nóżki i rozbijali im główki o kamienie, a płacze i krzyki patrzących na to matek sprawiały wojującym uciechę wielką.

Holofernes zachęcał przykładem do rozbojów i okrucieństwa.

Rosły więc łupy w jego wojsku, w nieszczęsnych krainach zdobyte. Gdzie przeszli ci najeźdźcy okrutni, tam zostawały tylko trupy niepogrzebane, miasta popalone, — zostawała smutna pustka.

Stanęło wreszcie wojsko niedaleko sławnego miasta Damaszku. Na szczycie jednego ze wzgórz rozbito namiot dla wodza i starszyzny.

Holofernes, leżąc na wspaniałym kobiercu, przyglądał się okolicy.

Uroczy widok rościelał się przed jego oczyma. Było to przed samemi żniwami; pola więc naokół okryte były zbożem dojrzałem. Zbiory zapowiadały się pięknie. Życie i swoboda widniały tu z każdego źdźbła, z każdego krzaczka, z każdego strumyka. Słońce chyliło się ku zachodowi. Gaje i winnice, któremi umajone były wzgórza, kąpały się w blaskach zachodzącego słońca. Na zielonem tle winnic bieliły się mury Damaszku.

W powietrzu zrobiło się cicho; najmniejszy powiew wiatru nie poruszył liściem, nie falował zbóż; ptaki pochowały się w gąszcze, zwierzęta skryły się w jary i szczeliny przed srogim człowiekiem, który wyszedł, aby gubić, niszczyć i zabijać.

Holofernes posłał do miasta, aby się poddało. Ale mieszkańcy Damaszku postanowili umrzeć zaszczytnie w obronie swej wolności. Jakkolwiek wiedzieli, że nie przemogą Assyryjczyków, jednakże przywitali wysłańców Holofernesa gradem kamieni i strzał, wołając:

— Umrzemy, a nie będziemy czcić waszego Assurbanipala.

— Głupcy! poddajcie się, bo zginiecie! — wołali posłowie.

— Zgińcie wy sami, rozbójnicy.

— Jeżeli się nie poddacie, nikt z was żyć nie będzie!

— Wolimy zginąć, niż żyć w niewoli!

Noc już zapadła, gdy wrócili wysłańcy.

Holofernes tak się rozgniewał na wiadomość o oporze mieszkańców Damaszku, że postanowił ukarać ich natychmiast. Mściwy to był i okrutny bardzo człowiek. Aby zaś łatwiej pokonać opornych, rozkazał podpalić wszystkie zboża.

Tysiące pochodni mignęło w mroku nocnym. Błysnął tu i ówdzie snop ognia; płomienne węże, sycząc, wznosiły się w górę i w jednej chwili rozszerzały się i tworzyły wielkie ogniska, które posuwały się na wszystkie strony z przerażającą szybkością. Niebawem cała przestrzeń była jakoby straszne ogniste morze. Noc zmieniła się na dzień; pogasły gwiazdy; Niebo sczerniało; ludzie, konie, wozy, wszystko było czerwone od ognia.

Zakwiliły żałośnie przepiórki i inne ptaszęta; wystraszone ogniem ze zboża, wylatywały w górę z piskiem, ale zaraz padały w głąb płomieni, płonąc, jak płatki słomy zapalonej. Zające i lisy, paląc się, biegały po polu, jak żywe pochodnie, i padały martwe.

Straszny to był widok.

Ale Holofernes z innymi wodzami przypatrywał mu się z roszkoszą. Miasto Damaszek zginęło wśród dymu i płomieni.

Dopalały się resztki zbóż i traw, gdy wschodnia część nieba okryła się porannym blaskiem czerwonym. Im niebo robiło się jaśniejsze, tem bardziej smutną i nieszczęsną wyłaniała się z mroków ziemia. Piękna wczoraj kraina była dziś pustą i okropną; swąd spalenizny unosił się w powietrzu; opalone trupy ludzi i zwierząt leżały rozrzucone po polu; z jarów i rozpadlin unosiły się kłęby dymów, na stokach gór tliły się zielone drzewa winnic.

Słońce wzeszło. Nie było wesołe, bo dymy i opary przysłoniły je i czyniły jego blask jakimś dziwnym, smutnym, pobudzającym do poważnych rozmyślań. Zielone winnice ostro odrysowywały się od czarnej ziemi, ziejącej dymem i gdzieniegdzie wyrzucającej ogniste języki.

Holofernes stał na górze, jak szatan ucisku i zniszczenia, a radość piekielna jaśniała na jego twarzy. Spojrzał na zielony wieniec gajów, jakimi otoczony był Damaszek; zmarszczył brwi i zawołał:

— Wyciąć winnice.

I natychmiast kilka tysięcy ludzi skoczyło spełnić niecny rozkaz. Niebawem rozległy się głuche uderzenia siekier; ręka ludzka prawie z taką samą szybkością niszczyła winnice, z jaką pożar niszczył zboża.

Nagle nowy widok ukazał się Holofernesowi.

Gromady ludzi, którzy nie znaleźli schronienia w mieście, ukryli się w gajach. Teraz, gdy gaje wycinano, uciekali przerażeni w pole. Żołnierze uganiali się za nimi, jak psy gończe za wytropioną zwierzyną. Nieszczęśliwi biegali jak obłąkani. Niektórzy rzucali się w ogień, inni szukali jakiego krzaczka lub rowu, ażeby ukryć się tam do wieczora. Ale żołnierze nie przepuszczali nikomu; za każdą ściętą głowę otrzymają przecież nagrodę i pochwałę, dlatego też umówili się, aby jak największą liczbę głów uzbierać. Nie gonią psy gończe dzikiego zwierza na polowaniu z taką zajadłością, z jaką ci żołnierze tropili nieszczęsnych ludzi, którzy nie mogli znaleść ocalenia. Z jednej strony szare dymy, płomień niszczący wysokie trawy, z drugiej wojsko z siekierami, wyrębując winne gaje, wypędzało ich na pole przed Holofernesa. Przed jego więc oczyma właściwie odbywała się rzeź, a on patrzył na nią rozradowany. A rzeź była straszna, nikt nie doznał miłosierdzia.

Jedna niewiasta z rozpuszczonemi włosami uciekała w stronę rzeczki, która, szemrząc cicho, przepływała przez winnice. Chciała zapewne rzucić się do wody. Ale popędziło za nią pięciu żołnierzy; jeden porwał ją za włosy, szarpnął ku sobie; przewróciła się na wznak z bolesnym krzykiem. Żołnierze spojrzeli jej w twarz; była bardzo młodą i piękną. Na chwilkę zatrzymali się, ale zaraz zaczęli ją ciągnąć każdy do siebie. Krzycząc i bijąc się wzajemnie, wyrywali sobie nieszczęśliwą, której krew buchnęła z ust, a oczy mgłą zaszły. Połamano jej ręce, nogi i porozrywano piersi, a gdy już umarła, szarpano jeszcze jej ciało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBÓZ INDYJSKI.



W powieści naszej p. t. »Wśród puszcz i stepów«, której druk ukończyliśmy w poprzednim numerze »Roli«, poznali Czytelnicy życie i zwyczaje Indjan. Dzisiaj podajemy reprodukcje fotografji, przedstawiającą obóz indyjski. Widzimy na niej trzy namioty, a przed nimi ich mieszkańców. Ze strojów można poznać, że to naród napół dziki, do którego jednak kultura światowa zaczyna docierać. Obok więc nagusów mamy już mieszkańców wystrojonych: jednych jeszcze w puszyste pióra, ale inni, szczególniej kobiety i dziewczęta nie różnią się wiele co do stroju od kobiet cywilizowanych. Może być, i u nich kultura szybciejby się przyjęła, gdyby prowadzili życie osiadłe, tak jak my. Polując jednak ciągle, przenosząc się z miejsca na miejsce, nie mają poprostu czasu na kształcenie swego umysłu i podnoszenie się na wyżyny cywilizacji.

Pismo a charakter.

Grafologja, czyli nauka odgadywania charakteru z pisma człowieka, interesuje wszystkich ogromnie. Jest ona dla wielu otoczona urokiem tajemniczości, i stoi w jednym rzędzie z wróżeniem z kart, badaniem losu z gwiazd, czy nawet słuchaniem, co powie wirujący stolik. Tymczasem jest to sztuka łatwą i dostępna dla każdego, kto zechce się do niej trochę poważniej zabrać. Nie ulega przecież wątpliwości, że charakter pisma jest w ścisłym związku z charakterem człowieka i że pewne powtarzające się stale cechy pisma są odzwierciadlaniem określonych cech charakteru.

Wyliczymy tu poważniejsze cechy pisma charakterystyczne dla pewnych cech usposobienia.

S i ł a w o l i wyraża się w równomiernem przyciskaniu pióra, wskutek czego grubość poszczególnych liter jest zawsze jednakowa. Dla ludzi obdarzonych silną wolą charakterystyczne są równe spiczaste litery.

W y t r w a ł o ś ć odźwierciadla się w starannie zamykanych węzełkach przy literach: f, t i b.

P o g o d a w literach o kształtach zaokrąglonych dość dużych rozmiarów.

O s z c z ę d n o ś ć poznać możemy po drobnych, ciasno skupionych literkach zazwyczaj ostro zakończonych.

S k r o m n o ś ć. Dla tej cechy charakterystyczne jest pismo o niskich, bardzo pochyłych literkach.

P r ó ż n o ś ć wyraża się w ozdobnych, opatrzonych zakrętami literach; pismo zwykle prostopadłe.

S z c z e r o ś ć. Ludzie szczerzy mają wyraźne, czytelne pismo; „o" i „a" zwykle u góry otwarte.

Ł a t w o w i e r n o ś ć charakteryzują litery coraz większe w miarę zbliżania się ku końcowi wiersza. Cechę tę spotykamy często u dzieci.

N e r w o w o ś ć. Nerwowi lub zdenerwowani mają litery nierównej wielkości, nieczytelne.

D e s p o t y z m wyraża się w długich ogonkach przy „y", „g" i „j" oraz w tendencji do podkreślania ważniejszych wyrazów.

R o z r z u t n o ś ć oznacza szerokie, luźne pismo, 6 liter człowieka rozrzutnego zajmuje tyle miejsca, co 16 skąpego.

D u m a wyraża się w wysokich, pewnych literach o zaokrąglonych kształtach.

S k r y t o ś ć. Litery wyciągają się jednym sznureczkiem wzdłuż linji. Pismo wyjątkowo nieczytelne.

P r z e k o r a. Przekorny człowiek pisze, albo ponad, albo poniżej linji właściwej; litery kapryśne, nierówne.

Poziom umysłu człowieka i jego życie psychiczne również wyrażają się w charakterze pisma.

J a s n y u m y s ł charakteryzuje duży odstęp między poszczególnemi wyrazami; pismo wyraźnie odbijające od papieru.

W r a ż l i w a n a t u r a wyraża się w bardzo pochyłem piśmie. Świadczy ono o wielkim udziale serca w życiu wewnętrznem danego osobnika.

P r z e w a g a r o z u m u n a d s e r c e m zachodzi u osób mających prostopadłe, równe, dość wysokie litery.

Prócz tego, każdy drobiazg jest charakterystyczny. Naprzykład sposób stawiania kropki nad i. Kropka z prawej strony litery oznacza szybkie myślenie. Kropka z lewej strony — powolne myślenie. Kropka wysoko nad literą — naturę idealistyczną. Kropka nisko nad i — materjalistę. Kropka w formie przecinka — żywość.

Oto garść uwag z dziedziny grafologji, uwag bardzo pobieżnych, które w nauce znajdują swe poważne uzasadnienie.



Ludziom to nigdy nie dogodzi. Gadas ty sam, to ich korci, cemu Kaśce nie pozwolis jadącki otworzyć. Zamknies gębe na guzik i Kaśką się wyręcys, to huzia na ciebie, lacegoś taki próżniak i zadarmo chleb powszedni z masłem zres. A ze prawdę powiadam, to niech za dowód posłuzy pisanie jednej dzieuski, cudności jak malowanie, która taki wirsyk do mnie napisała:

Słuchaj no Maciusiu, coś mi to niejasne,
Cyś ty Kaśke zeproł, co nie gada w „Roli"?
Bo z tydnia na tydzień twe pisanie własne,
A Kaśkę tam pewnie serce na cie boli!

Pewnoś ty Maciusiu, zazdrosny o Kasie,
Że jej chłopcy „złotki" składali na wianek.
Zgniewałeś sie i powiedziałeś: — A zasie!
Ją sam będe gadał, dość jeji pisanek.

Nie gniewaj sie, Maciuś, złość piękności szkodzi;
Lepiej już raz z Kasią daj na zapowiedzi.
My wam zaśpiewamy: Wiwat państwo młodzi!
I popiją bliżsi i dalsi sąsiedzi.

Tak mi napisała ta ładna panienka, a tem ładniejsa, ze mi przysłała dwa złociaki na przeprosiny z Kaśką.

Ale i bez tego ja jej w zesłą niedziele wygadać sie pozwolił, choć sobie jesce nóg do samy góry nie opucowała. Zejdzie jej nad tem pare tygodni, a potem jakoś to będzie. Ja zaś temcasem muse opowiedzieć to, co Jagna u Matuśa opowiadała o tem skubancie, który to kciał ukarać karcmarza za to, ze tych styrech dziadów obił.

— Jak ten skubant pomyślał — opowiadała Jagna — aby karcmarza ukarać, tak i wymyślił. Posed sobie do jegomości na plebanje i powiada, ze zna takiego człowieka, który juz siedem roków u świętej spowiedzi nie był, a bardzo radby sie nawrócił, bo mu sie juz grzysyć nie chce, ale sie obawia, zeby go jegomość nie wyprzezywali. I dalej pada, ze karcmarz prosi, ze gdyby tak jegomość mieli cas, toby jesce dzisiaj przysed i wyprał dusysko dokumentnie.

— A to niech przychodzi — jegomość na to — ino ty idź po niego.

Skubant pożegnał jegomości i powiada, co karcmarz pewnikiem zaraz przyjdzie.

Posed skubant do karcmarza i prędziutko mu powiada:

— Wiecie wy karcmarzyku co? Ten jegomość u nas to jest mój krewny. Byłem tam dziś u niego i opowiedziałem mu o tem, jaką wam to wielką skode ci dziedowie wyrządzili: najedli, napili, a potem uciekli i nic nie dali. Powiedzieli jegomość, zebyście wszyćko policyli, a oni wam to wszyćko zapłacą.

— Kiedy tak — powiada karcmarz — toby trzeba iść. Ksiądz probosc ma piniędzy dość, niech daje.

I posed.

Skubant zaprowadził go do kościoła, a jegomość juz cekali na niego w konfesjonale. Skubant sepnął karcmarzowi, zeby sed do jegomości, to mu zaraz wypłacą, i sam wysed z kościoła. Jegomość, ujrzawszy owego grzyśnika, skineli na niego palicem, zeby podsed i kazali mu uklęknąć. Karcmarz powiada: — „No dyć ja ta uklękne, bylem pieniądze dostał"! i ukląkł.

A jegomość powiadają:

— No mów!

— No wypili najpierw jeden liter — pada karcmarz — potem zamówili pół funta kiełbasy, a jak to zjedli, wzięli znowu jeden liter, potem po dwa piwa i jesce jeden liter, a to ucyniło równy dukat.

— Mnie to nic nie obchodzi — jegomość mu na to — co tam kto u ciebie zjadł, albo wypił, ino gadaj tu psiaparo swoje grzychy, a nie cudze!

— Ja na spowiedź nie przysedłem — obrusył sie karcmarz — ino po pieniądze za wódke i kiełbase, które dziady zechlały.

Jegomość z karcmarzem porozumieć sie nie mogli, bo jegomość swoje, a karcmarz swoje i juz o mało nie przysło do cego, ale jakosik nie przysło, bo w końcu oba zrozumieli, ze se skubant z karcmarza zadrwił.

Gdy skubant wysed z kościoła, poleciał do baby karcmarzowej i powiedział jej, ze ma iść naprzeciw karcmarza, bo go jegomość tak obficie obdarzyli, ze sobie sam nijak rady dać nie moze. Karcmarka zaraz porzuciła wszyćką prace i dalej ku karcmarzowi, którego tez spotkała smutnego z głową zwiesoną na dół i mówi do niego:

— A dyć miałeś tyle dostać od jegomości, co ani unieść tego nie można, a ty idzies z próżnemi ręcami?

Karcmarzowi było juz tego zawiele i kosturem, którem sie podpirał, zdzielił babe w siedzenie.

— Ty pocwaro jakasik, nie dość ze mnie ten smyk w pole wyprowadził, to sie jesce i ty ze mnie będzies naśmiwała.

I nuze ją drugi raz po siedzeniu.

Baba nie wiedziała, co sie stało, za co ją tak serdecnie mąż cęstuje, rzuciła mu sie więc do ślepi i powstała bójka na drodze. Ludzi naschodziło sie kupa i mieli okrutecną ucieche, bo nima nic weselsego na świecie, jak sie kochające stadło za łby włócy.

Tak to skubant ukarał karcmarza za sponiewieranie dziadów.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

Ludzie poprzechodzili z kościoła: opustoszały barwne drogi i ścieżki, jeszcze przed chwilą mieniące się w kolorach wstąg, korali i jaskrawych chustek, umilkły rozmowy starszych, oraz beztroskie szczebioty dzieci.

Popołudnie lipcowej niedzieli zaczęło wydłużać cienie, rysując na zboczu kotliny szczerbate plamy, jako ostatnie pozdrowienie słońca, chowającego się za wierzchołki już dobrze z tej strony poczernionych gór.



Skrzypnęły drzwi: wszedł Franek, brat dziadka Jędrzeja.

Żywiczna świeżość nadchodzącego wieczoru powyciągała z chat wszystkich, którzy tylko zdolni byli ją odczuć. Pozostali starzy i chorzy, rozkoszując się ciszą dusznych izb, pozbawionych hałasu dziatwy i brzęku utrudzonych much. Lecz i ci zbliżają się do okna, z fajką lub różańcem, i patrzą w tępem milczeniu gdzieś w ścieśniającą się dal. Czasem ktoś ruszy wargami, jakby chciał mówić, coś — co dawno rozlało się w przestrzeni czasu; jakby chciał sobie coś przypomnieć, co gdzieś koło ucha stłumionem echem się tłucze dawno przebrzmiałych hymnów. Lecz częściej wzrok zasnuwa się mgłą, różaniec przestaje się posuwać w palcach, a tylko z gardła zaczyna się dobywać na różne akordy stosowane — chrapanie. Od miedz, z za opłotków nie dolecą aż tu te wszystkie rozigrane śmiechy, piski, hałasy, kwiki rozbawionej młodzieży. Nie dolecą.

Starzy śpią.

Jędrzej właśnie skończył śpiewać nieszpory, poczem zabrał się do opatrywania nogi. Bolała go już od kilku lat. Niegdyś kupczył świńmi: trzeba się było wiele nachodzić, nadźwigać, i pewnie tem nogi przesilił, skutkiem czego otworzyły się na starość rany, niedające się niczem zagoić. Pozatem czuł się zdrowym. Najwięcej go trapiło, że do kościoła nie mógł chodzić. Mila drogi — nie bagatela... To już nie na jego nogi. Umiał sobie jednak radzić: wszelkie nabożeństwa kościelne odprawiał sam w domu. A choć z liturgją były bardzo na rozbieżnej stopie, to jednak nie można twierdzić, aby nie osięgły tego samego skutku.

— Dostałaś, Margośka, jaki list?

Zmizerowana kobieta poruszyła się żywiej na łóżku, odsuwając na bok jakiś gruby modlitewnik. W swej leżąco-siedzącej pozie wyglądała dosyć tragicznie, a jej wyraz twarzy mógł budzić tylko litość i współczucie. Niemiłosierne suchoty trzymały w kleszczach upatrzoną ofiarę.

Wzamian odpowiedzi potrząsnęła głową, poczem rozejrzała się po izbie oczami pełnemi smutku i niepokoju. Jest gospodynią, niczego jej nie brak, a musi leżeć, jak ten Łazarz... Dlaczego — to jest ten świat tak dziwnie urządzony? Dlaczego akurat ona musi opuszczać dzieci — pisklęta jeszcze, gospodarstwo, ludzi?... Dlaczegoż ona niema się doczekać powrotu męża z wojny, dlaczego?... Pyta sama siebie, lecz tam wewnątrz głucho. Więc nie pyta wiele, bo możeby wypełz z ukrycia jakiś głęboki żal, ciężki wyrzut, otulony powłoką rozpaczy. Nie pyta... nie wolno... nie trzeba; bo i cóż z tego? Tylko zsiniałemi palcami ściska kartki odpustowego modlitewnika.

— Wola Twoja, o Jezu!... szepczą prawie bezwiednie zbielałe wargi.

W mistyce modlitwy gubi się na chwilę cała, nie czując nawet bólu, smagającego i wgryzającego się w jej ciało. Prosta, niespaczona filozofją, nieskoszlawiona brukowemi nowinkami — wiara kładzie na jej czole słodycz smutku, obojętność i zrozumienie na swój sposób dróg Odwiecznego, przed któremi uchylić się nie można. Czuje, że zbliża się do kresu wędrówki. Zbliża się bez protestu.

— Wola Twoja!

Skrzypnęły drzwi: wszedł Franek, brat dziadka Jędrzeja, piastun wszystkich dzieci, stary sługa domowy.

— Dopiero z kościoła? — zagadnęła Margośka.

— Niedziela... poco się śpieszyć... Jak się człek zejdzie z chłopami, to nijak rozlecieć się z kupy.

— O wojnie słyszałeś co? — ożywił się Jędrzej.

— Ady cosi mówią, że się ma ku końcowi. Jak, co... nie wiem! tylem ino dosłyszał. Może Bóg da, że Tomek wnet do nas wróci...

— Oj, żeby to! — westchnął dziadek.

— Wróci chłop z wojny, to i Margośka wtedy prędzej wyzdrowieje — próbował rozpogodzić atmosferę Franek, zrzucając ze siebie kościelne, dosyć wymięte ubranie.

Zamyśliła się czegoś Margośka, więc nie słyszała ostatnich słów, rzuconych niby jałmużnę pod jej adresem. Po chwili dopiero rzekła:

— Na misce pod sitkiem masz obiad. Mleka sobie poszukaj sam, bo dziecka gdzieś się rozleciały.

— Cobyś się tam o mnie trapiła... Już ja sobie znajdę, czego mi będzie potrzeba.

Po izbie kładła się cisza, zharmonizowana z beztroską słodyczą zachodzącego słońca.

Czy naprawdę zharmonizowana? Czy wogóle można mówić na świecie o harmonji?

— Ludzi masz jakich do żyta? — zagadnął Franka Jędrzej.

— Jakiego żyta?

— Przecież innego niema, tylko to pod lasem.

— A cóż po ludziach?

— Jakto: sam będziesz żął?

— Gdy przyjdzie czas — mogę i sam; tymczasem do tego jeszcze daleko, spory kawał czasu.

— Żaden kawał! Byłem tam przed południem, więc widziałem.

— Cóżeś widział?

— A to, że żyto jest pilne do żęcia.

— Pewnie ci brakuje siana dla bydła... Z takiej zieleniny byłoby .nienajgorsze — rozumie się... Mądry z ciebie gospodarz, o mądry!

— Tybyś pewnie chciał, żeby się ziarno z kłosa wysypało... A no — nie zła rada; bez kłopotów może być zasiana ozimina. Masz dobre pomysły!

— Dobre, czy niedobre, ale żyto jest zielone! gdy dojrzeje, sam go zesiekę „na grabki".

— Co? żyto „na grabki"? To słoma jest na zepsucie? Cóż z takiej pomierzwionej słomy: tylko do gnoju. A skąd weźmiesz na pokrycie stodoły? W tym roku trzeba będzie koniecznie coś zrobić z tym dachem; leje się w kilku miejscach. Nic, ino patrzy się poszywać. Aby słoma była, trzeba ludzi nająć i żyto zeżąć sierpami.

— Kto dziś żnie? Dawne czasy, kiedyto ludzie gięli karki przy sierpach, aż w krzyżach trzeszczało, minęły bezpowrotnie. Dziś świat idzie naprzód. Zresztą... szkoda nawet kosztów na ludzi. Teraz, w czasie wojny, każdy się ogranicza, jak tylko może.

— Świat sobie może iść, gdzie mu się podoba, zaś nam potrzeba słomy na dach, bo w stodole zacieka.

Przywykła do takich sporów gospodarskich Margośka, nie starała się im zrazu sprzeciwiać, wierząc, jak zwykle, w pomyślne zakończenie. Lecz widząc coraz większe zacietrzewienie, jęła się środków pojednawczych, które już miały ustaloną opinję. Skończyło się na tem, że obydwie strony coś ustąpiły: zgodzono się więc na projekt Margośki, aby zaraz rano zabrał się Franek z kosą do żyta.

Tak spychało się biedę z dnia na dzień. Margośka wciąż chorzała, lecz na szczęście miała ludzi, którzy się zajmowali gospodarstwem. Miała ich może za wiele, co stawało się powodem domowej zawieruchy, lecz ktoby się tem przejmował, jakąś mikroskopijną iskierką tej strasznej pożogi ,jaka szalała nad światem — wojna...

Mimo wszystko Franek z Jędrzejem gospodarzyli, jak na owe ciężkie czasy — wzorowo. Posprzeczali się, pokrzyczeli, narobili hałasu, ale potem każdy robił, co mu wypadało, nie licząc się częstokroć z zasobem własnych sił. Trudno — wojna. Ludzi brak, rąk do pracy nie starczy, więc pozostali muszą pracować za dziesięciu innych. Jędrzejowi nieraz noga sztywniała z bólu, lecz on nie odważył się w biały dzień położyć do łóżka.

— Będzie deszcz, czy co, bo mi tak łupie w nodze...

I jeszcze zdwajał siły, bo zawsze było coś pilnego do zrobienia przed deszczem, który nie zawsze był następstwem łamania w nodze. Na pociechę siebie dodawał w myśli:

— Przynajmniej sobie wtedy odpocznę, pod pierzyną. Tam noga się zagrzeje, więc przestanie boleć i łupać „suchym bólem".

Tym sześćdziesięcioletnim gospodarzom, którym wojna włożyła na barki tyle obowiązków, dosyć wątpliwą pomocą były dzieci. Ojca niema, matka nie opuszcza łóżka, a słuchać dziadka lub Franka niezawsze się chce. Margośkę trapiło to najwięcej. Częste sfary w domu, choroba, niepewność o męża — żarły ją, dogryzały słabo migocący odblask życia. Nadzieją nikt się z domowników nie łudził, tylko ona sama. Wierzyła w cuda, w rzeczy niezwykłe; więc czemużby i ona nie miała tego doświadczyć, co inni? Ofiarowała się nawet po wyzdrowieniu do Kalwarji Zebrzydowskiej i wierzyła, że to wkrótce nastąpi. Były chwile, kiedy napadały ją gwałtowne żądze życia, kiedy wmawiała w siebie, że musi żyć, musi doczekać się powrotu męża, musi odchować swoje drobiazgi...

Męża się wprawdzie doczekała, ale nic więcej... Nieubłagany jest los człowieka bezbronnego; pastwi się nad nim natura do ostateczności.

Siła światem włada. Co marne, słabe, schorzałe, wycieńczone, niezdolne do walki, zaciekłej walki — niech idzie w zatracenie, w otchłań ciszy niebytu. Na ziemi brak miejsca dla serca, dla dusz, topniejących w ekstazie umiłowania wszelkich istnień, dla dusz zapatrzonych w pryzmaty słońc, zasłuchanych w hejnały wichrów podniebnych i czystych dźwięków anielskiej muzyki. Tu żyje brutalna siła przemocy; ona włada światem i całą naturą. Ty zaś, o słabe serce, rozpływające się w modlitwie piękna, prawdy, miłości — zgiń i przepadnij na wieki!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dziwne zjawy.

Jeżeliby mała cząsteczka tych rzeczy się sprawdziła, o których nas wiadomości z Ameryki dochodzą, a mianowicie o zdumiewających właściwościach 38-letniego Brazylijczyka, Mirabelli, to możnaby naprawdę człowieka tego z całą słusznością nazwać najbardziej interesującem i najlepszem medjum współczesnem z jakiem dotychczas poważna wiedza okultystyczna miała do czynienia. Wszystko co nam historja okultyzmu dotychczas przekazała o działaniach najsławniejszych medjów, wszystko to razem wzięte jest bagatelą w stosunku do tych fenomenów, które Mirabelli pod kontrolą lekarską i z poświadczeniem 500 uczonych świata dokonywa.

Mirabelli urodził się we Włoszech i już jako dziecko wywędrował z rodzicami do Brazylji. Jego właściwości medjumiczne odkryto podczas wielkiej wojny. W roku 1919 przyrodnicy w Brazylji zawiązali komitet, by zbadać owe legendy, które się już unosiły nad nazwiskiem Mirabelliego. Większa część komitetowych była głęboko przekonana, że ma się tu do czynienia z wypróbowanym oszustem i blagierem. Eksperymenty z Mirabellim trwały 8 lat przeszło. Do obszernego drukowanego sprawozdania o jego czynności i właściwościach dodano 555 świadectw najpoważniejszych lekarzy, profesorów, filozofów, techników i t. p., którzy jednogłośnie zaświadczają, że rzeczy nie do uwierzenia i niemożliwe, uznać musieli za wiarygodne.

Najbardziej interesującem przy fenomenach Mirabelliego jest to, że zjawiska ukazują się przy pełnem dziennem świetle. Niema ani ciemnicy, ani czerwonych latarni. Wydarzenia na terytorjum eksperymentalnem dzieją się w oczach wszystkich. Już samo odkrycie osoby Mirabelliego jest dziwną i ciemną zagadką. Młody Brazylijczyk przeniósł obraz siłą swojej woli bez żadnego udziału materjalnych sił z jednego domu do drugiego, oddalonego o kilkanaście kilometrów. Cała historja trwała pół minuty. Obraz „zdjął się" sam ze ściany i zniknął.

Zaznaczamy jeszcze raz, że działo się to podczas białego dnia w obecności licznych świadków. Obraz dostał się niewiadomo jaką drogą na stół w innym domu, tak, jak to Mirabelli zapowiedział.

— Potwierdzam, że Mirabelli nie dopuścił się żadnego figla ani oszustwa pisze w sprawozdaniu swojem lekarz Carneiro Maia.

— Jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że fenomeny te są prawdziwe — potwierdza drugi lekarz, prof. uniwersytetu Silpera.

Mirabelli jest przytem medjum piszącem. Określenie to dotyczy zdolności pewnych medjów, które z

podziwu godną szybkością piszą na temat zupełnie im obcy i w językach, których nie znają — zupełnie tak, jakby pisali pod dyktatem. Mirabelli jest w stanie pisać w 37 rozmaitych językach, począwszy od perskiego i najrozmaitszych indyjskich djalektów, aż do polskiego i syryjskiego, od łacińskiego i greckiego aż do sanskryptu. Oczywiście, że pisze to wszystko w stanie transu. Gdy jest na jawie i przy normalnej przytomności mówi tylko po portugalsku i hiszpańsku.

Jego istotna siła leży jednak w zakresie fizycznych zjawisk. Rzucił on cień na wszystkie fenomenalne zjawiska najsławniejszych medjów, jak Douglas Home, Eusapia Paladino, Floren Cook, Willy Schneider. Mirabelli siada w swoim fotelu, przywiązuje go starannie rzemieniami, naokoło stoi baczna kontrola. Nagle podnosi się fotel w górę i pozostaje zawieszony w powietrzu nawysokości dwóch metrów.

Eksperyment ten powtarzano setki razy, efekt pozostał zawsze taki sam.

W domu San Paolo siedzi Mirabelli z kilkoma członkami komitetu, między którymi był i senator Munis Sodre. Nagle oświadcza Mirabelli, że widzi pewien przedmiot będący własnością senatora w jego mieszkaniu, jak leci w przestrzeni wprost na jego głowę. Kilka minut później upada ten przedmiot z powietrza przed nogi Mirabelliego.

Mirabelli znajduje się w laboratorjum akademji, dla psychicznych badań. Godzina 9-ta rano nagle słychać silne pukanie w stół i wkrótce odzywa się głos, który lekarz Suza poznaje jako głos swej zmarłej córki. Halucynacja — możnaby powiedzieć. Ale tu nagle zjawia się wśród obecnych zmarła córka lekarza.

Nie ma bynajmniej wyglądu zmarłej lub upiora, lecz swoją dawną postać jaką miała za życia; jest miłą i piękną dzieweczką. Lekarz wstaje idzie naprzeciw niej i ściska ją. Poznaje wyraźnie jej suknie, te same, które na krótko przed swą śmiercią nosiła i w których została pochowana. Dwaj inni lekarze zbliżają się do niej i badają jej puls i bicie serca, ojciec kieruje pytanie do fantomu, fantom odpowiada i wywiązuje się regularna rozmowa. Umarła, która żyje, zostaje sfotografowana. Zrobiono 20 przeszło zdjęć.

36 minut trwa ten niepojęty cud, potem fantom rozpływa się w powietrzu. I to wszystko dzieje się w oczach 20 lekarzy i profesorów.

Innym razem ukazuje się pośród dnia w obecności licznego towarzystwa biskup Josse de Camaryo Barros, który przed kilku tygodniami utonął w morzu. Książę Kościoła stoi w tradycjonalnym swym kostjumie w pośrodku sali, uśmiecha się, przemawia do obecnych, jeden z dentystów konstatuje, że kilka zębów ma plombowanych. Nagle odzywa się zjawa do obecnych:

— A teraz uważajcie moi bracia w Chrystusie — gdyż odchodzę.

Fantom się nie rozpływa, tylko się kurczy i zmniejsza. Jest coraz mniejszy i mniejszy, aż wielki biskup mierzy zaledwie 30 centymetrów, potem znika.

Teraz nie pozostało Mirabelliemu nic innego, po tylu cudach, jak samemu zniknąć. Przywiązano go do ciężkiego fotelu silnemi rzemieniami, nagle Mirabelli znikł. Po długiem szukaniu znachodzą go w tym samym domu na zupełnie innym piętrze i w skrzydle budynku, leżącego na otomanie i palącego papierosa. Fenomenalne medjum mają zamiar uczeni sprowadzić także do Europy.

Jak kupić zdrową i dobrą krowę.

Jest to pytanie niezmiernie ważne dla każdego, który pragnie nabyć krowę, dobrą i mleczną.

Przedewszystkiem przy oglądaniu nowej nieznanej krowy nigdy nie należy zbytnio ufać sprzedającemu, który zwykle zapewnia,, że krowa jest zupełnie zdrowa, daje dużo mleka, ma doskonały apetyt, dobrze się cieli itd., lecz bardzo uważnie i krytycznie zbadać ją w sposób następujący:

Najpierwszą rzeczą jest zbadanie wymienia, czy niema na niem objawów gruźlicy, w tym celu należy dobrze obmacać palcami, czy nie wyczuwa się w wymieniu jakich guziczków, gruzełków lub stwardnień, specjalnie należy zwrócić uwagę na gruczoły wymienia,, położone od tyłu, czy nie są one powiększone i stwardniałe. Przy jakichkolwiek objawach choroby wymienia, bezwzględnie należy krowę taką odrzucić i nie nabywać.

Należy dobrze zbadać wszystkie dojki, czy mają mleko, czy nie są obrzękłe lub bolesne przy dotykaniu i czy nie mają na nich brodawek, wszystko to obniża wartość krowy. Następnie trzeba zbadać jej temperaturę, to jest zapomocą termometru zmierzyć gorączkę, każda krowa zdrowa powinna mieć od 38,5 do 39,5° C. Termometr wkłada się na 5 minut do opróżnionej ręką z kału kiszki odbytowej, przed włożeniem nie zapomnieć rtęci w termometrze strząsnąć, żeby opadła przynajmniej do 36° C. W razie, gdy okaże się, że krowa ma temperaturę wyższą od podanej tu normy — krowy takiej nie nabywać.

Dalej — koniecznem jest zbadanie ruchu pierwszego żołądka, czyli żwacza; w tym celu należy mocno przyłożyć dłoń do lewego boku, gdzie słabizna i pilnie wyczuwać poruszenia żwacza, który normalnie podnosi się dwa razy w przeciągu trzech minut, wszelkie nieprawidłowości w tym kierunku będą świadczyć o zaburzeniach w trawieniu.

Należy zwrócić baczną uwagę na stan odżywiania, czy krowa nie jest zbyt chuda, czy oczy nie są zapadnięte, włos nie powinien być nastroszony; krowy wychudzonej i nędznej nabywać nie można, gdyż może to być objawem gruźlicy lub innej chronicznej choroby.

Krowy często podlegają tak zwanej promienicy, jest to cierpienie zewnętrzne, lokalizujące się najczęściej na szczękach w postaci guzów kostnych. Choroba ta nieraz się rozszerza, objawia się w różnych miejscach ciała, gdzie tworzą się ropnie, przez co krowa coraz więcej chudnie i wkońcu musi być oddana na rzeź, ponieważ choroba jest nieuleczalną. Należy więc dobrze zbadać na górnych i dolnych szczękach, czy niema na nich guzów, twardych jak kamień; krowę taką bezwzględnie przy kupnie odrzucić.

Co do wyboru krowy mlecznej to należy zwrócić uwagę najpierw na wymię, które powinno być duże, dobrze rozwinięte i szerokie od tyłu; głowa krowy mlecznej powinna być mała, a skóra na całem ciele cienka i łatwo odciągająca się od mięśni.

Ogólny wygląd krowy mlecznej powinien być szlachetny, budowa kośca szeroko rozbudowana, przeważnie w zadniej części.

Łeb krowy mlecznej powinien być delikatny, wydłużony z cienkim krótkim rogiem.

Skóra powinna być cienka, delikatna, elastyczna, a po odciągnięciu powinna wracać na swe miejsce. Na bokach pod skórą mają być widoczne pręgi, jak-

by od uderzenia batem, a na szyi ma się zwijać skóra w cienkie fałdki.

Sierść na skórze powinna być rzadka, cienka i jakby tłuszczem wysmarowana, lśniąca.

Skóra na wymieniu powinna być cienka i po wydojeniu układać się w fałdy. Dojki powinny być długie, czyste bez brodawek, u nasady dość grube.



Poradnik gospodarczy.

A. LONCZAK.

Jak hipotecznie przeprowadzić kupno.

W dzisiejszych ciężkich czasach rzadko dochodzi do skutku kupno-sprzedaż w większych rozmiarach. Jednak przeprowadzenie hipoteczne nawet drobnych kawałków gruntu napotyka na trudności wobec wysokich kosztów notarjalnych (które dosięgają 700 złp. od morga) i uchybia użyciu ceny kupna na cel do jakiego została przeznaczoną względnie zagospodarowanie się na kupionym kawałku gruntu.

Wobec rozpowszechnionego dziś szkolnictwa powszechnego i znajomości pisania u szerszych warstw — nie od rzeczy będzie wskazać P. T. czytelnikom, w jaki sposób same strony zgodnie bez udziału notarjusza mogą sporządzić kontrakt. Wymaganą jest przytem dokładna znajomość mapy hipotecznej (co zresztą jest konieczne i u notarjusza) a dla uniknięcia podstępów — obustronna znajomość czytania i pisania lub też posiadania osoby na której zaufaniu zupełnie można polegać dla „spokoju sumienia" po sprzedaży.

Otóż dla gruntów wogóle prowadzona jest księga gruntowa, do której wpisuje się pewien kompleks gruntu pod osobną nazwą wykazu hipotecznego (wykaz hipoteczny L. ....) w księdze gruntowej dla każdej gminy katastralnej (płacącej podatek) i wykazy te są dla każdej gminy osobno numerowane. Wykaz taki obejmuje 3 karty: Kartę **A,** na której mieści się oznaczenie wykazu np. wyk. hip. L. .... Gmina katastr.... oraz wszystkie części tego kompleksu według uprawy, a to role osobno numerowane, osobno łąki, pastwiska itd., kartę **B,** na której wypisani są wszyscy właściciele do których dany kompleks (wykaz) należy, oraz kartę **C,** na której wypisane są wszystkie długi jakie dane grunta obciążają tudzież inne ciężary np. prawa przejazdu, przechodu, dożywocia.

Jeżeli z jakiegoś wykazu sprzedaje się nie wszystkie grunta, to sprzedaje się w przeważnej części wypadków całą parcelę np. łąkę, rolę lub pastwisko, które ma osobny numer. W takim wypadku nie potrzeba ani geometry na grunt wyprowadzać, ani udziału notarjusza, wystarczy, jeżeli strony przejrzą mapę w hipotece (która jest dostępną dla każdego) oraz przeczytają wykaz hipoteczny na kogo jest wpisaną.

Wtedy już kontrakt same strony ułożyły, a idzie tylko o dopełnienie formalności hipotecznej, to znaczy dokument, który musi mieć wymaganą treść oraz podpisy sądownie lub notarjalnie uwierzytelnione (legalizowane). Legalizacja w Sądzie nie kosztuje nic, tylko stemple zaś u notarjusza znacznie mniej niż kontrakt, bo jakieś 10—15 złotych najwyżej.

Jeżeli więc umieją pisać, wówczas spisują kontrakt treści jak poniżej:

stempel
1 złoty

KONTRAKT KUPNA - SPRZEDAŻY.

zawarty na dniu dzisiejszym między N. N. rolnikiem w Z. a X. X. rolnikiem pod następującymi warunkami:

Art. I. Wedle księgi gruntowej dla gminy katastralnej Z zaintabulowane jest prawo własności realności objętej wykazem hipotecznym L. .... tejże gminy na rzecz sprzedającego N. N. (wymienić nazwisko). Realność ta jest wolna od ciężarów. W skład realności tej wchodzi między innemi parcela gruntowa lk. 745 rola (lub inny numer).

Art. II. Kontraktem niniejszym sprzedaje N. N. parcelę powyższą lk. 745 (lub inny numer) X. X. na jego wyłączną i nieograniczoną własność bez jakichkolwiek zastrzeżeń, tak jak on ją posiada i posiadać ma prawo za zgodnie przez strony umówioną cenę kupna w kwocie 2.000 (dwa tysiące) złotych (lub inną kwotę) i zezwala, aby parcela gruntowa lk. 745 z realności sprzedającego lwyk. hip. .... księgi gruntowej gminy katastralnej .... została wydzieloną z niej nowy osobny wykaz hipoteczny utworzony a prawa własności tegoż zaintabulowane na rzecz nabywcy... X. X. — (lub też dwóch nabywców po połowie).

Art. III. Cena kupna została przed podpisaniem kontraktu w zupełności zapłaconą i sprzedający kupującego z jej odbioru kwituje.

Art. IV. Koszta sporządzenia kontraktu, należytość prawną od przeniesienia własności wymierzyć się mającą ponosi kupujący bez regresu do sprzedającego.

Art. V. Grunt będący przedmiotem kontraktu używał sprzedawca w celach rolnej uprawy i w tychże celach kupujący go nabywa.

Art. VI. Sprzedawca ręczy kupującemu, że grunt sprzedany wolny jest od wszelkich długów, podatki zaś zapłacone są po dzień .... od tego zaś dnia podatki i inne ciężary publiczne przechodzą na nabywcę.

Art. VII. Strony zrzekają się prawa nastawania na ważność tego kontraktu z jakiejkolwiek przyczyny, a w szczególności z powodu pokrzywdzenia ponad połowę wartości.

Strony uznają kontrakt niniejszy jako zgodnie z ich wolą spisany i w dowód tego własnoręcznie podpisują wobec Sądu (notarjusza).

.... (Miejscowość) ... dnia .... 192...

.... (Tu należy umieścić klauzulę sądową lub notarjalną).

Dokończenie nastąpi.

TRZEBA IŚĆ!...



Trzeba między lud iść prosty:
Zdrowe ziarno rzucać w rolę,
A wyrywać ciernie, osty,
Dzikie chwasty i kąkole...
Trzeba karmę nieść mu zarową —
A nie — jadem chleb zatruty;
Nie podsycać waśń rodową —
Lecz uprzedzeń zrywać druty...
Trzeba między lud iść głosić:
Wolność, Równość, Miłość bratnią;
A te hasła w życie wnosić —
Aż się w czynach uwydatnią.
Lecz nie wieść go na rozdroża,
Gdzie on hańbą się okryje.
I nie wciskac w rękę noża —
Aż na braci go użyje...
Trzeba między lud iść chętnie,
Z dobrem słowem, obejść sioła,
A nie patrzeć obojętnie —
Gdy mu troska radli czoła.

Albatros.

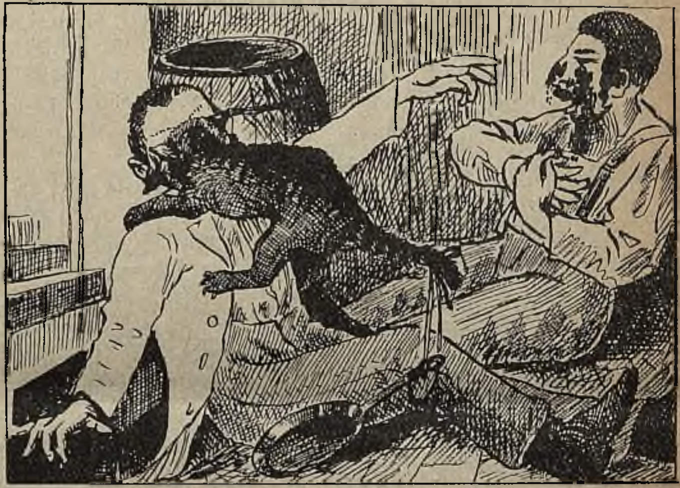
KRONIKA.

Stojący trup. Z Jarosławia donoszą: Śmiertelny wypadek porażenia mózgowego zaszedł onegdaj podczas kąpieli na Maczugach, pow. Jarosław. Cierpiący od dłuższego czasu dotkliwy ból głowy strażnik leśny hr. Zamoyskiego Kaszyca, zamieszkały na Maczugach — celem ulżenia sobie w bolu głowy udał się do stawu, oddalonego o 80 kroków od domu, aby się wykąpać. Córka jego Julja pędząc krowy do lasu, spostrzegła ojca w stawie w odległości 4 m. od brzegu, w stojącej pozycji, bez ruchu, nieco pochylonego. Gdy na jej wołania nie otrzymała odpowiedzi, krzykiem przywołała braci, którzy weszli w wodę i wyciągnęli stojącego trupa ojca. Stwierdzono, że strażnik Kaszyca zanurzył silnie rozgrzaną głowę w zimnej wodzie, co spowodowało momentalnie porażenie mózgu i śmierć. Ciekawe w tym wypadku jest to, że trup Kaszycy nie pogrążył się w wodzie, lecz pozostał w pozycji stojącej, jak człowiek żywy, panujący nad swemi ruchami.

Lekarstwo na miłość. Ze Stryja donoszą: Mikołaj Michałowski z żoną swą przez lat kilka żył w przykładnej zgodzie. I byliby może zakończyli żywot doczesny w najlepszej harmonji, gdyby nie... ta trzecia. Traf chciał, że Michałowski przypadkowo na chrzcinach u sąsiada poznał mieszkankę sąsiedniej wsi, Annę Wyrysową. Annie wpadł w oko dorodny kolejarz, przypuściła więc do niego „szturm“. Mikołaj nie był od tego, więc rozpoczęła się idylla tajemna. Dotychczas pilnował on ogniska domowego, wieczorami nie wychodził, tak, jak na przykładnego męża przystało. Ale z chwilą poznania nadobnej Anny wszystko się zmieniło. Wieczorami wychodził z domu, a żonie opowiadał, że ma służbę nocną, musi bowiem wyręczyć chorego kolegę. Żona wierzyła. Te wędrówki trwały dłuższy czas, aż pewnego razu „przyjaciel“ męża wtajemniczył ją we wszystko. Po naradzie z sąsiadką, zdradzona kolejarzowa udała się po poradę do znachorki Marji Kełebej, która podała jej „cudowny“ środek na wzbudzenie u mężów miłości do własnych żon. Znachorka kazała zdradzonej znachorce sporządzić wywar z karakonów, poczem zmieszać to z wydzielinami ludzkimi i herbatą lipową. Po wypiciu tej specjalnej mikstury, mąż — wedle zdania znachorki — zapłonie gwałtowną miłością do żony swej. Biedna kobiecina zastosowała się do rady wróżbitki, atoli z wręcz odmiennym skutkiem. Mąż bowiem silnie zachorował, a lekarz stwierdził oznaki otrucia. Sprawą zainteresowała się policja, która całą rzecz skierowała do sądu. Smutna to rzecz, iż są ludzie, którzy wierzą jeszcze w jakieś lekarstwa na miłość. Żona może utrzymać miłość swego męża jedynie zupełnem oddaniem się mu, troską o niego i osładzaniem mu jego doli, a nigdy wywarem z karakonów lub innych paskudztw.

Zagadkowa choroba. Przed kilku dniami przyjechała do Łodzi ze Zduńskiej Woli żona zamożnego obywatela tamtejszego Lipmanowa z siedmioletnim synkiem cierpiącym na dziwną jakąś chorobę. Dziecko, zrazu normalne, w siódmym roku życia nagle obrzękło i zaczęło chodzić na czworakach z wywieszonym językiem. Miast słów z ust jego wydostawały się jakieś niesamowite dźwięki, Nieszczęśliwa matka zwracała się do wszystkich lekarzy Zduńskiej Woli, żaden jednak nie mógł rozpoznać tej dziwnej choroby. Wówczas Lipmanowa postanowiła udać się wraz z synkiem do Łodzi. Tu zwróciła się do jednego z najbardziej znanych lekarzy, lecz i ten stanął przed zagadką. Tajemnica i straszna choroba, na którą cierpiał siedmioletni synek Lipmanowej, była mu zupełnie nieznaną. O pojawieniu się dziwnej tej choroby zakomunikował kolegom, którzy poddali dziecko skrupulatnemu badaniu, nie mogąc przecież ustalić przyczyny dziwnych zmian w jego organizmie. Ostatecznie poradzono Lipmanowej, by umieściła synka w jednej z miejscowych klinik prywatnych, co też uczyniła. Obecnie dziecko jest przedmiotem ogromnego zainteresowania lekarzy łódzkich.

Kot z patelnią u ogona. Smutnie skończyła się w Warszawie zabawa, zainicjowana przez 17-letniego Moszka Tugendrajera. Zaprosił on do kompanji swego rówieśnika, zamieszkałego w tym samym domu Lejzora Chwata. Wystarali się o starą patelnię, ujęli wałęsającego się po schodach kota i wyszli na podwórze. Tugendrajer przywiązał kotowi naczynie do ogona, podniósł go i rzucił. Przerażone hałasem zwierzę puściło się galopem dokoła podwórza, dudniąc patelnią po kamieniach i ostatecznie wpadło do sieni, by ukryć się za stojącą tam beczką. Chłopcy, zanosząc się od śmiechu, pobiegli tam również. Gdy jednak zbliżyli się do beczki, oszalały ze strachu kot skoczył na nich, mszcząc się za swoją krzywdę.



Tugendrajerowi odgryzł kawałek nosa, a Chwatowi okrutnie pokaleczył twarz. Rannych opatrzyło pogotowie ratunkowe. Będą jeszcze pociągnięci do odpowiedzialności za dręczenie zwierzęcia.

Milsza religja niż bogactwa. O głębokiem przywiązaniu do wiary katolickiej biednego dziewczęcia donoszą gazety warszawskie. Rzecz przedstawia się następująco: Mateusz Karaś, gospodarz ze wsi Zakrzew pod Radomiem był bezdzietny. Po naradzie z żoną, doszedł do wniosku, że wszak trudno pozostawić chałupę i rolę bez spadkobiercy. Postanowili wziąć dziecko na wychowanie. W roku 1903 Karaś przyjechał do Warszawy, odwiedził przytułek dla podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus i wybrał kilkumiesięczną dziewczynkę ochrzczoną imieniem Karolina. O pochodzenie niemowlęcia nawet nie pytał, bo co to kogo obchodzi. Mała wyrosła na zdrową, dorodną dziewczynę. Po pierwszej Komunji św. Karasiowie zawieźli ją do kościoła parafjalnego w Błotnicy i przed cudownym obrazem ofiarowali Najświętszej Pannie. Czas leciał szybko. O względy Karolki, która dziś liczy 24 wiosny, starał się kwiat wiejskiej młodzieży. Aż tu nagle do spokojnej chaty zawitał niepokój. Poczta doręczyła Karasiom list, wzywający ich przybraną córkę do Warszawy. Miała się stawić w kancelarji gminy żydowskiej, by otrzymać wskazówki postępowania spadkowego. Po naradzie z sołtysem dziewczyna wybrała się w drogę. Nieśmiało weszla do kancelarji. Przyjęto ją z niebywałemi honorami.

— Moje dziecko — zawołał wzruszony sekretarz — ty jesteś żydówka. bo już wiemy, kto był twoją matką.

Ciebie podrzuciła Chaja Bormanówna, która teraz umarła w Ameryce i zapisała ci pięć domów w San Francisco i dwie fabryki konserw!

Karolci mowę odjęło. Ochłonąwszy nieco, oświadczyła:

— Nie znam mej matki, wiem tylko, że jestem chrześcijanką.

— No, to musisz zaraz przejść na wiarę żydowską, bo inaczej cały majątek przepadnie.

— Ja wolę zostać u siebie na wsi i do Ameryki nie wyjadę.

— Oj, co ona mówi! — krzyknął jeden z interesantów — ona chyba zwarjowała! Tyle dolarów! Tyle bogactwa!

Do porozumienia nie doszło. Karolcia wróciła na wieś. Pasa jak dawniej krowy, zamiata izbę, chodzi na mszę św. do kościoła i czuje się zupełnie szczęśliwa, bo wie, iż dobrze i rozumnie uczyniła.

Niemiła przygoda dwunastu panienek. W czasie tak zwanej Nocy Weneckiej, miało miejsce w Poznaniu, na Sołaczu, zdarzenie napozór nieprawdopodobne, niemniej jednak najzupełniej autentyczne. Pomiędzy bawiącymi tam gośćmi było też kilku członków wycieczki z Ameryki, ludzi bardzo wesołych na sposób amerykański. Jeden z nich, przechadzając się po parku, spostrzegł w pewnej chwili młodą panienkę, idącą samotnie przez cienistą aleję. Po chwili rozmawiali ze soba jak starzy, dobrzy znajomi.

— Wie pani, moglibyśmy dzisiaj świetnie się zabawić. Potrzeba jeszcze jedenastu pań. Gdyby pani mogła w krótkim czasie zebrać z pomiędzy swoich koleżanek taką ilość, byłbym niezmiernie wdzięczny.

Uradowana panienka, myśląc, że Amerykanin zamierza zaaranżować jakieś tańce, czy inną zabawę, pobiegła czemprędzej, by spełnić jego polecenie. Upłynęło zaledwie kilkanaście minut, a już w umówionem miejscu stawił się tuzin panien. Przedstawiwszy się paniom, Amerykanin zaprosił je wszystkie do miasta. Skinął na dwa automobile, stojące w pobliżu, i ulokował w nich swoje towarzyszki. Następnie zapłacił szoferom z góry za jazdę, sam jednak jeszcze nie zajął miejsca. Kiedy już puszczono w ruch motory, zawołał:

— Proszę zawieźć te małpy do ogrodu zoologicznego!

Łatwo sobie wyobrazić, co się stało w następnej chwili. Dwanaście oszalałych z gniewu i wstydu kobiet poczęło krzyczeć w niebogłosy, Amerykanin zaś zanosił się od śmiechu, w czem mu dzielnie pomagali widzowie. Powstało duże zbiegowisko. Pokrzywdzone panny zawezwały policję. Spisano protokół. Amerykanin nie tracił mimo to humoru, twierdząc, iż nigdy jeszcze tak dobrze się nie zabawił.

Rosyjska bohaterka. Z Kijowa nadeszła krótka wiadomość: „Porucznik Sacharczenko „za zdradę“ został rozstrzelany“. Tyle ofiar „czeki“ ginie codziennie tam w Rosji, że przestano się zajmować poszczególnemi ofiarami. Lecz wieść o rozstrzelaniu porucznika Sacharczenki wywołała głośne echo w emigranckiej prasie rosyjskiej, a stąd przedostała się na łamy innych dzienników jako sensacja niezwykła. Porucznik Sacharczenko to w rzeczywistości Elżbieta Iwanowna Szulcówna, córka bałtyckiego generała armji carskiej. Gdy wybuchła wojna światowa, została pielęgniarką w szpitalu wojskowym, jak wiele innych kobiet z towarzystwa. Wprawdzie chciała walczyć na froncie z bronią w ręku, lecz ojciec oparł się temu stanowczo. Dnia 8 sierpnia 1916 r. Elżbieta Iwanówna uciekła z domu rodzicielskiego. Lekarze szpitala polowego w walkach karpackich byli zdumieni, gdy wśród rannych pietrogrodzkiego pułku huzarów poznali w chorążym Sacharczence kobietę. Chorąży Sacharczenko znany był w pułku jako jeden z najodważniejszych. Wstąpił w szeregi jako ochotnik i awansował prędko dzięki nieustraszonej odwadze i sprawności w służbie wywiadowczej na froncie. Wylizawszy się z ran, znowu poszła na front, otrzymawszy odznaczenie za waleczność. Już wtedy nazwano ją rosyjską Joanną d'Arc. Po zawarciu pokoju zniknęła, aby wypłynąć znowu w szeregach generała Wrangla. Walczyła w białej armji przeciw bolszewikom. Potem w południowej Rosji przebyła całą kampanję, a po upadku kontr-rewolucji, ucieka przez Azję i komunistyczną Rosję do Polski, stąd zaś do Paryża. W Paryżu zetknęła się z emigracją rosyjską i tu dowiedziała się, że rodzina jej schroniła się w czasach przewrotu do Wiednia i tam przebywa. Pewnego dnia zniknęła z Paryża. W kółku znajomych emigrantów przypuszczano, że pojechała do rodziców, ale ona udała się do Rosji, aby tam na własną rękę walczyć z bolszewikami. Jaki obrała teren, nikt nie umiał powiedzieć. Ale zaufani wymieniali często jej nazwisko ilekroć razy była mowa o zamachach na tego lub owego funkcjonarjusza sowieckiej Rosji. W każdym spisku antybolszewickim tkwiła Marja Iwanówna Szulcówna. Wreszcie przyłapano ją i oddano pod sąd „czeki“.

Przyjemności lata. Komuż z nas nie dokuczyły upały tegoroczne. Wieśniak, który od świtu do nocy właśnie w czasie upałów ma pracy co niemiara, najwyżej gdzie w południe na parę minut skryje się w cień, aby się nieco ochłodzić. Inaczej ludzie ci, którzy pracują umysłowo. Pocą oni się wprawdzie rok cały, ale gdy przyjdą największe gorąca, biorą urlop i wyjeżdżają gdzieś nad morze, lub przynajmniej na wieś w pobliże rzeki, aby nieco odpocząć i zaczerpnąć sił do nowej pracy. Niemal cały wolny czas spędzają nad brzegiem wody, obnażywszy się zupełnie.



Na obrazku naszym widzimy właśnie takie wywczasy letnie. Oto trzy istoty ludzkie wyszły na brzeg wody. Jedna z nich pluska się w chłodnych nurtach rzeki czy stawu, druga zmęczona pływaniem odpoczywa na nadbrzeżnym piasku, trzecia przygotowuje się, aby swobodnie popluskać w chłodzącej kąpieli.

Proces ludożerców. Jesienią rozpocznie się przed trybunałem w Bratislawie rozprawa sądowa przeciwko mołdawskim cyganom, na których ciążą bardzo poważne poszlaki o straszliwą zbrodnię ludożerstwa. Na ławie oskarżonych zasiądzie aż 30 ludzi, winnych piętnastu zabójstw oraz długiego szeregu napaści zbrojnych i grabieży. Sam akt oskarżenia zajmuje blisko 4 tysiące stron maszynowego pisma, trybunał odpowiedzieć będzie musiał na kilkaset pytań, których sformułowanie mieści się na 270-ciu stronicach. Nic więc dziwnego, że proces ten, największy w dziejach sądownictwa czeskiego, trwać będzie około dwa miesiące.

Papieros wybawcą. Marco, mieszkaniec włoskiego miasta Udine, któremu życie zbrzydło, położył się

na szynach kolejowych. powierzając kołom parowozu czynności nożyc. Dobrowolny skazaniec postanowił — w oczekiwaniu śmierci — wypalić tradycyjnego „papierosa ostatniego“. Niedopałek, niezręcznie trzymany, oparzył mu palce; na skutek bólu Marco zerwał się na równe nogi w chwili, gdy pociąg w szybkiem tempie przejeżdżał tuż obok. Niedoszły samobójca został uratowany.

Córka bolszewika księżniczką. Jedna z córek zmarłego komisarza sowieckiego i kierownika skarbu Leonida Krassina, po którym pozostał w spadku majątek wartości 60 miljonów rubli w złocie, zaręczyła się niedawno w Paryżu. Szczęśliwa spadkobierczyni miljonów wychodzi za mąż za księcia Laroche Foucauld, mężczyznę już starszego, który właśnie rozwiódł się ze swą pierwszą żoną. Ślub przyszłej księżnej a obecnie córki proletarjusza odbędzie się w ścisłem gronie rodzinnem na zamku księcia położonym we Francji południowej. Z Paryża zawezwano malarzy i mistrzów sztuki stosowanej, by wnętrze zamku księcia odświeżyli. Zamówiono nowe urządzenie, a pokój sypialny młodej pary wyposażono w meble wręcz królewskie. Tradycja domu książąt Laroche-Faucauld wymaga, by zaślubiny odbywały się z jak największym przepychem w kaplicy zamkowej pod baldachimem z róż. Po uroczystości ślubnej odbędzie się wesele, na które zaproszono członków rodów arystokratycznych z całej okolicy. Wiadomość o tych zaręczynach wywołała w poselstwie sowieckiem w Paryżu wielkie poruszenie. Niewiadomo jeszcze, czy Ludmiła Krassin zaprosi na swój ślub i posła Rakowskiego. On to bowiem kopał dołki pod Krassinem, spowodował jego odwołanie z Londynu i byłby go postawił pod sąd w Moskwie, gdyby śmierć nie była ocaliła Krassina przed zemstą Centralnego Komitetu. Od tego czasu rodzina Krassina bojkotowała posła sowieckiego w Paryżu. Zmarły komisarz ludowy Krassin składał swój zaoszczędzony pieniądz w bankach zagranicznych, bo do rosyjskich banków nie miał zaufania i przeczuwał, że sowiety skonfiskują mu majątek w chwili, gdy stanie przed sądem. A Krassin uchodził już dawno za bogatego człowieka. W czasie wojny spekulował, był wówczas przedstawicielem firmy Siemens i Schuckert w Petersburgu, a uzyskany pieniądz odkładał w bankach szwajcarskich i angielskich. Potem, gdy znalazł się zagranicą, nie gardził spekulacją, która mu przyniosła piękne zyski. Usiłowania rządu sowieckiego zagarnięcia majątku Krassina spełzły na niczem, bo Krassin nie lokował pieniędzy na własne nazwisko, lecz na imię żony i dzieci. Jest to dowód, jak przywódcy komunistyczni umią robić majątki na nędzy biednych ludzi.

Rekordowa głodówka. Lekarze poradzili pani L. Touch powstrzymać się na pewien czas od przyjmowania płynów i zachowywać ścisłą djetę, zapewniając ją, że tym sposobem zdoła się ona pozbyć dotkliwych cierpień żołądkowych, które dokuczały jej od dłuższego czasu. Pani Touch „przesadziła nieco“ w przestrzeganiu tego przepisu, głodowała bowiem skrupulatnie w przeciągu 55 dni, co doprowadziło ją wprawdzie do pozbycia się cierpień, ale wraz z życiem. Władze policyjne rodzinnego jej miasta Toronto w Kanadzie stwierdziły śmierć z wyczerpania, wywołanego najdłuższą z notowanych „głodówek“.

Litościwa królowa. Do belgijskiego zagłębia węglowego, które nawiedzone zostało niedawno przez wielką katastrofę wybuchu gazu, przybyła przed paru dniami królowa Elżbieta belgijska, by osobiście zaopiekować się losem rodzin górników, którzy ucierpieli lub nawet postradali życie na skutek tej klęski. Wszedłszy do jednego z domków, zauważyła monarchini, że gospodyni pokazuje jej tylko jedno dziecko, aczkolwiek towarzyszący jej urzędnik kopalni wspomniał o dwojgu. „A gdzie druga dziewczynka?“ — zapytuje królowa. Wdowa z widocznem zakłopotaniem tłumaczy, że drugiego dziecka nie poważyła się przedstawić, gdyż jest ono nieślubnem, a więc nie uznawanem przez prawo. „To prawo jest krzywdzące i rodziców i dzieci, należy bezwzględnie położyć kres takiej niesprawiedliwości“, odpowiedziała z energją królowa Elżbieta, „a tymczasem przyjmuję tę nieślubną córkę pod swoją osobistą opiekę“.

Szczególny pijak. John Honey, 43-letni obywatel miasta Bristolu od 20 lat wchodzi stale w kolizję z kodeksem karnym, gdyż jest prawie zawsze pijany. Nie byłoby to nic dziwnego, gdyby pan Honey zaglądał do kieliszka wódki. Dziwak woli jednakże — mleko. Pasjami lubi ten niewinny biały trunek i pochłania nieprawdopodobne ilości butelek. A że dochody jego nie starczą na zakup dziennie 10 do 15 litrów mleka, zdobywa sobie p. Honey ulubiony trunek w sposób nielegalny. Żadna butelka mleka nie ostoi się przed nim. W nadzwyczaj wyrafinowany i zręczny sposób zabiera butelki dzieciom z kołysek, kupcom ze sklepów i wieśniakom z obory. Niezliczone razy był już karany za kradzieże, lecz nic dotąd nie zdołało amatora mleka wyleczyć z fatalnej pasji. Lekarze stwierdzili, że dziwny „pijak“ jest umysłowo zupełnie zdrów. Mleczarnia bristolska zgodziła się dostarczać p. Honey'owi bezpłatnie dziennie 5 litrów mleka, gdy tenże zobowiąże się nie zabierać butelek ustawianych co rano przed drzwiami klijentów. Pan Honey zgodził się wspaniałomyślnie na propozycję mleczarni, lecz nadal uprawiał proceder rekwizycji butelek, gdyż gratisowe 5 litrów stanowiły tylko trzecią część konsumowanej dziennie ilości. Niedawno sąd pokoju skazał Honey'a na 9 miesięcy więzienia. Zastosowano tak wysoki wymiar kary z powodu nałogowości i dlatego, że amator cudzego mleka, przychwycony na gorącym uczynku, rzucił prawowitemu właścicielowi opróżnioną butelkę w głowę. Widocznie nadmierna ilość wypitego mleka podnieca tak samo jak alkohol!

Śmiercionośna kałuża. W Crayfordzie, w Anglji zdarzył się wypadek, którego ofiarą padł piękny pies rasowy wilk alzacki, własność niejakiego p. Mathew. P. Mathew szedł spokojnie jedną z głównych ulic Crayfordu, a obok niego biegł wesoło czworonożny ulubieniec. W pewnej chwili pies, znalazłszy się w środku niewielkiej kałuży, zaczął przeraźliwie wyć, drgać konwulsyjnie i po kilku sekundach zdechł. Pan pospieszył mu z pomocą, lecz zaledwie dotknął się ciała psa, cofnął się przerażony, wstrząsnął nim dreszcz, jak gdyby raził go prąd elektryczny. Na miejscu wypadku zebrał się znaczny tłum, lecz ktokolwiek próbował zbliżyć się do zwłok psa, doznawał takiego samego wstrząsu. Policja otoczyła kałużę kordonem i nie wpuszczała nikogo. Niebawem przybył mechanik i tajemnica śmiercionośnej kałuży wyjaśniła się, że przyczyną wypadku był znajdujący się płytko pod ziemią przewód elektryczny. Ostatnie deszcze zmyły przykrywającą go warstwę ziemi i pozbawiły go zwojów izolacyjnych.

Dżuma w Chinach. Z Szanghaju w Chinach donoszą, że przybył tam z Kantonu parowiec japoński, na którego pokładzie znajdowało się około 1000 żołnierzy armji północnej, dotkniętych dżumą. Pewną liczbę żołnierzy, którzy zmarli na tę chorobę, wrzucono do rzeki. Władze, pragnąc uniknąć rozszerzenia się epidemji, poleciły odszukać i wyciągnąć ciała zmarłych z rzeki. 19 trupów odnaleziono.

RZECZY CIEKAWE.

Jak wyglądała wieża Babel?

Czasy nowoczesne przyniosły ze sobą gruntowną rewizję dawnych mitów i podań. Nauka dzisiejsza bezlitośnie odziera historję starożytną z aureoli legendy, którą uczyliśmy się w szkołach podziwiać.

I tak m. in. zachowało się w nas historyczne wspomnienie o wieży Babel, która była cudem świata. Dopiero przed kilkudziesięciu laty podjęto pracę nad wykopaliskami babilońskiemi. Archeolog Robert Koldewey, który przez lat dwadzieścia kierował wykopaliskami muzeów berlińskich i Niemieckiego Tow. Wschodniego, wypracował na podstawie bardzo dokładnie podanych wymiarów i wyników wykopalisk plan Wieży Babel, który wzbudzić musi szczery podziw. Dawniej znajomość kultury babylońskiej czerpano z Starego Testamentu i wskutek tego panowała skłonność oceniania dawnego Babylonu jako coś przepotężnego. Zdaniem Koldewey'a Wieża Babel była gigantyczną świątynią, nie zaś jak to przedtem sądzono, wysokim pomnikiem u góry kształtu piramidy, którego zakończeniem może i była jakaś kaplica niespełniająca nawet przeznaczenia piramid egipskich, pokrywających grób królewski. Wieża Babel była świątynią olbrzymich rozmiarów, a z dachu jej można było wybornie śledzić gwiazdy, co znający się na astrologji kapłani też czynili. Świątynia wybudowana na wieży wysokiej na 92 metry, miała kształt kwadratowy, a boki jej miały wymiar 92 metrów i tyleż metrów wysokości. Harmonja tkwiła w ugrupowaniu masy. Trzy zewnętrzne schody wiodły do świątyni. Odnaleziono je jeszcze. Cała budowla czyni wrażenie wręcz nowożytnego dzieła. A więc było tam olbrzymie podwórze, były składy, mieszkania kapłanów, szkoły i ulice.

Śmiertelność wśród murzynów.

Ludność murzyńska w Chicago stanowi już przeszło 5 proc. mieszkańców. Nie było jej tak dużo przed wojną. Dopiero w czasie wojny i po wojnie zaczęli murzyni masowo przybywać z południa do Chicago i dzisiaj jest już w obrębie miasta 100 tys. murzynów.

Jest to dopiero początek emigracji murzyńskiej, gdyż każdy rok wyrzuca coraz większe fale czarnej ludności na bruk chicagowski.

Wskutek tego napływu zmienia się rasowe oblicze miasta, wzmaga się w nim zbrodniczość, a co najważniejsze, w zastraszający sposób jest już zagrożona zdrowotność Chicago.

W roku 1925 Chicago miało najniższą z miast świata ratę śmiertelności, wynosiła ona bowiem 11,5 proc. na tysiąc mieszkańców. Tymczasem śmiertelność murzynów w Chicago tego samego roku wynosiła 22,5 proc. czyli ratę, jaką przewyższają tylko najniezdrowsze na świecie miasta, jak Bombay i Calcutta w Indjach. Dzieci murzyńskich umiera 118 na tysiąc. Starsi natomiast wnoszą ze sobą różne zaraźliwe choroby.

Najnieszczęśliwsza kobieta na świecie.

Podczas, gdy położenie młodziutkiej i ładnej wdówki w Europie było zawsze interesujące i zawierało w sobie pewien drażniący pieprzyk, sytuację jej osieroconej przez męża siostrzycy w Indjach ocieniała zawsze groźna chmura tragizmu. Odwieczne bowiem prawo żądało, aby po śmierci małżonka, spłonęła ona na stosie, symbolizując nicość swoją, której tylko egzystencja jej pana i władcy nadawała sens istnienia. Dziesiaj, aczkolwiek władze angielskie wykorzeniły ten barbarzyński zwyczaj, i żona po śmierci męża wraca bądź do swej rodziny, bądź pozostaje w rodzinie męża, położenie jej w dalszym ciągu jest godne najwyższego pożałowania. Stanowi ona bowiem wciąż przedmiot pogardy, traci wszelkie prawa i jest jakgdyby wykluczona poza kastę, z której pochodzi. Jest to tem okropniejsze, że wiele z tych owdowiałych kobiet, nigdy nie były prawdziwemi małżonkami: z 300.000 dziewcząt, poślubionych w r. 1911, 17.000 owdowiało w wieku lat od 5 do 10.

W r. 1895 założono dla tych nieszczęśliwych istot coś w rodzaju przytuliska, w którem uczą ich najrozmaitszych rzemiosł i przy dojściu do odpowiedniego wieku starają się wydać je poraz wtóry zamąż, ale idzie to jeszcze bardzo opornie.

„Niema chyba na świecie kobiety, powiada jeden ze znakomitych znawców Indji, której los byłby tak okropny jak położenie owdowiałej Induski".

Spóźnione macierzyństwo.

Niesłychane było zdumienie dyrektora londyńskiego ogrodu zoologicznego w Regents Parku, gdy mu doniesiono, że „Oil Bill" zniosła jajko. Była to tem większa niespodzianka, iż 1) imię to należy do papugi, którą dotąd wszyscy uważali za samca, a 2) ptak ten liczy z całą pewnością przeszło 100 lat wieku, co stanowi w danym wypadku rekord macierzyństwa.

Różnice klimatyczne.

Człowiek może znieść ogromnie wielkie różnice klimatyczne. Organizm człowieczy posiada aparat reguluacyjny, który normalną ciepłotę jego ciała utrzymuje w temperaturze 37—37.5 stopni Cel. Wrazie podniesienia się temperatury, organizm ludzki przetrzymać może gorączkę do 42 stopni. Najniższą temperaturę ciała, którą skonstatowano u zamarzającego człowieka, było 32 stopnie.

Człowiek ma na ziemi dosyć sposobności do wypróbowania zmiennych wpływów klimatycznych. Jeżeli chodzi o temperaturę powietrza, to miejscowość Massaua nad Morzem Czerwonem ma najwyższą temperaturę roczną, oznaczoną na 30.2 stopni. Położenie tej wyspy oblewanej ciepłemi falami morza powoduje, że noce nie dają chłodu tak iż dla przybyłych ż stron innych klimat ten jest poprostu nieznośny. Podobny klimat ma miejscowość Lugh, leżąca w kraju Somali.

Najniższa przeciętna temperatura roczna, znamionuje Frainheim, wynosi bowiem 25.8 stopni poniżej zera. Miejscowość ta stanowiła kwaterę Amundsena w czasie jego ekspedycji do bieguna południowego. Na samym biegunie południowym prawdopodobnie przeciętna temperatura roczna wynosi około 30 stopni zimna.

Przy poszczególnych pomiarach skonstatowano najwyższą temperaturę powietrza na ziemi w Dolinie Śmierci na granicy Kalifornji i Newady, gdzie stwierdzono 56.6 stopni.

W tej okolicy panują zupełnie specjalne warunki meteorologiczne, które przyprawiły wielu podróżników i poszukiwaczy złota o śmierć. Również w środkowych okolicach Nowej Walji południowej zanotowano temperatury, wynoszące 54 i 55 stopni.

Najzimniejszymi punktami ziemi, nie są, jak to przypuszczać można było, geograficzne bieguny. Najniższą temperaturę wymierzono na Syberji w Wierchojańsku, konstatując 67.8 stopni poniżej zera. Tego rodzaju pomiarów nie można już przeprowadzić przy pomocy termometrów rtęciowych, bo rtęć zamarza

przy 40 stopniach, używa się tedy termometrów alkoholowych.

Najwilgotniejsze powietrze jest ponad tropikalnemi wodami, a zatem na Oceanie Indyjskim, najmniej wilgoci w powietrzu skonstatowano w okolicach najzimniejszych.

Największe zachmurzenie przypada na europejskie morze Północne, na Białe morze, jak również na morze pod biegunem południowym. — Najmniej chmur ukazuje się w Assuanie, nad Górnym Nilem i w innych miejscowościach pustynnych. Chmury są również rzadkiem zjawiskiem w zatoce perskiej i na pustynnych terytorjach indyjskich.

Miejscowością, w której najwięcej pada deszczu jest Cherapunji w Indjach azjatyckich. Z deszczowych opadów słynie również Kanuai, najbardziej na północy położona wyspa z grupy wysp Hawajskich. Takiej miejscowości, w którejby nigdy deszcz nie padał, niema wogóle na świecie, ale najmniej opadów stwierdzamy na suchych wybrzeżach Chile i Peru oraz w południowo-zachodniej Afryce, w Górnym Egipcie i w Australji. Na wyspie Jalu, należącej do wysp Marszałkowskich deszcze padają przez 336 dni w roku.

Burze najczęściej nawiedzają Abisynję, gdzie zaobserwowano przeciętnie 214 dni burzliwych w roku. W burze obfitują okolice Afryki wschodniej i Kamerunu. W okolicach polarnych burze nie występują prawie wcale.

Zawiadamiamy wszystkich Sz. Czytelników, że broszury p. t. „Modelowa Zagroda i Chata Włościańska“ jeszcze do nabycia nie mamy. O ile uda nam się nabycie wprost u wydawcy po niższej cenie, to podamy do wiadomości i ogłosimy cenę. Cena w księgarni jest zadroga. Jeden egzemplarz „Roli“ w stosunku do ceny tej broszury powinienby kosztować conajmniej 3 złote.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.: Koło Młodzieży z Niedar dla Maćka 1 zł., A. Wagnerówna ze Szczakowy dla Maćka 2 zł.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Piotr Wenc** w S.: Otrzymaliśmy, dziękujemy. Szczególnej „Myśli“ się nam przydadzą. — **Leopold Manowski** w K.: Na okładkach jest duża oszczędność, ale mimo to wkrótce będziemy je dawali nadal. — **Jan Stec** w Z.: Z owym panem bez skargi sądowej się nie obejdzie. Znany on jest z tego, że zaciąga zobowiązania, których nie wypełnia. I taki człowiek śmie się jeszcze nazywać pracownikiem dla ludu. — **Piotr Gródek** w B.: Owszem, kalendarze na 1928 r. będziemy mieli. — **Walenty Pasierb** z Cz.: No, nareszcie Pan się odezwał! Wspomniany list i 2 zł. gdzieś na poczcie przepadły. Wierszyk dobry. — **Jan Węgiel:** Otrzymaliśmy, ale wierszy mamy tak dużo, iż trudno nam oznaczyć, kiedy będą drukowane. — **Jan Śmiałek** w W.: O ile zdarzy się coś ciekawego, zamieszczamy, gdy zaś niema nic nadzwyczajnego, szkoda na drobnostki miejsca. — **Józef Mikołajski** w C.: Sprawa z prenumeratą jest wyjaśniona. Nadeszła do nas dopiero we czwartek 28 lipca, akuratnie miesiąc od wysłania. Wędrowała tak długo z winy Pańskiej, ponieważ Pan czek źle wypełnił. Na pierwszej części czeku, którą Pan nam przysłał jako dowód wpisał Pan numer konta dobry: **406.301,** a na następnych dwóch częściach czeku wpisał Pan numer konta zły (**400.301**) i pieniądze poszły do kogo innego nie do Administracji „Roli“. Sprawił Pan przez to kłopot nam jak i Poczt. Kasie Oszcz. Dziwi nas, że urząd pocztowy w Krzeszowicach nie zauważył tej myłki.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 2 sierpnia b. r.

Pszenica .	00·00—00·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	38·00—00 00	Ziemniaki stoł.	00·00—00·00
Owies . .	00·00—00·00	Koniczyna naslenn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	00·00—00·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	74·00—76·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Okładki na „Rolę“ są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył T. Biernacik).

■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Port w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Wspak imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Inaczej „tłum“.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Inaczej „warjować“.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Zwierzę (bez kropki).
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Wspak ogólne zdanie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Mieszkaniec Europy.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Rzeki podatne do żeglugi.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Ochraniacz buta.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Mąż nimfy morskiej.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Wspak głupi.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Syn Labdakosa.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Gatunek wódki.
■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Rodzaj sklepu.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Wspak jagoda.

Litery, wstawione zamiast kwadracików, czytane z góry na dół dadzą tytuł, imię i nazwisko człowieka, zasłużonego dla Ojczyzny.

2. Szarady.

(Ułożył Rudolf Sz. z P.).

I.

Pierwsze, pół drugiego jest czynność człowieka,
Który (pierwszy, drugi) od ognia nie ucieka,
Wesoło tam, gdzie słychać drugie trzecie,
Całość człowiek znany, szerzeniem oświaty w świecie.

II.

Pierwsze, trzecie, napój u Turków lubiany,
Drugie, trzecie, jest w ogrodzie często koło ściany.
Całość, szukaj u ogrodnika
I u każdego rolnika.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z S).

I.

Na twarzy błazna
radość wyraźna.
Lecz gdy wybuchnie
nie jedno zdmuchnie.

II.

Choć to nie świnia
świńskie ma imię.
Leży w korycie
latem i w zimie.

III.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

Hiszpan ma to z tyłu, a Niemiec ma z przodku,
Mężatka niema wcale, a panna ma dwa w środku.

4. Przestawianka.

(Ułożył Antoni Marchlik z K.).

to, ra, dla, gdy, spo, lecz, po, że, na, nie, koj, nie, nie, jest, ka, z na, prze, dą, czar, przgd, chy, szczę, ne, bnie, tun, ście, ża, chmu, się, wie, cze, kiem, nie, ciw, ry, roz, ją, ją, mu, ka, nie, dzie, nim, czte.

Z powyższych zgłosek ułożyć czterowiersz, umieszczony w „Roli“.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 13 bm.

Znaczenie zagadek z nru 30 „Roli": 1. Logogryf: Bohdan Chmielnicki. 2. Szarady: Pokora, Okulary, Karawana. 3. Przestawianka: „Oj nie ta jest ciężka chwila, kiedy sypią ci mogiłę, ale ta jest ciężka chwila, kiedy rzucasz, co ci miłe". 4. Bilety wizytowe: Antoni Bassara, Feliks Kowalczyk, Jan Matysik.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Otrzymawszy numer „Roli"
Człek się poci i mozoli,
Gdy zagadki rozwiązuje
Godzinami medytuje
Których w „Roli" całe stosy
Czasem krzyczę w niebogłosy:
Redaktorzy! — to mię męczy —
Mniej zagadek, nagród więcej!
Do tych znowu się odnoszę
Co zagadki układają,
I oto ich bardzo proszę
Niech mniej trudu nam zadają.
A każdemu znowu życzę
Kiedy pośle rozwiązanie...
Za suszenie mózgownice
Niech nagrodę choć dostanie.
Takie moje jest życzenie
Jak myślałem napisałem,
A na wiersza dokończenie
Tak zagadki rozwiązałem:
W logogryfie figuruje
Wróg Chmielnicki jakich wiele
W ślad pokora postępuje,
Lecz tej u nas jest niewiele.
Założywszy okulary
Widzę mężów dobrze znanych
— Naszej „Roli" to filary —
Przewodników ukochanych...
Cześć Ci, Panie Redaktorze!
Cześć dla Pana Kowalczyka,
Cześć dla Pana Matysika,
Autora poradnika!

Jan Czeluśniak.

Oprócz tego dobre rozwiązania nadesłali w oznaczonym czasie pp.: Józef Kapuściński z L. (wierszem), Feliks Popielarczyk z W. D., Jan Bylica z K., Józef Hajewski z W., Piotr Galocz z C., Stanisław Czaja z Szcz., Jan Patulski z S., Stefka Głoniówna z Z., Franciszek Obal z Ł., Piotr Wenc z S., Władysława Oprychówna z K., Wojciech Ciepiela z B., Jan Szilder z Ł., St. Nowak z K. (wierszem), Florjan Ciebiera z Rz., Józef Topolski z P. G., Helena Bandułówna z M., Władysław Marko z K., Jakób Markiewicz z S., Józef Święcicki z D., Władysław Soból z P., Piotr Gródek z B., Mieczysław Stawarz z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Patulski z Sokołówki i Helena Bandulówna z Mydlnik.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.